



3
to już
sto lat



6
nie chcę
czekać
na cud



dodatek
młodzieżowy
7-10



ordynat
Michorowski
11-12

KONTAKTY

ŁOMŻYŃSKI TYGODNIK SPOŁECZNY • PISMO PZPR



21

(136)

KONTAKTY
22 V 1983

Cena
10 zł



Fot. GABOR LÖRINCZY

**miłość
ci wszystko
wybaczy**

**ADAM JERZY
SOCHA**

Spółeczeństwo można przyrównać do obwodu elektrycznego. Każdego z nas łączy z drugim człowiekiem niewidzialna nitka. W czasie szczególnych napięć przepala się jakiś „punkt” tego wielomilionowego układu. Każde takie spięcie jak to, które miało miejsce 14 kwietnia 1983 roku w Łomży, gdy 31-letnia kobieta uśmierciła dwoje swoich dzieci: 6-letniego syna i 7-letnią córkę, następnie podpaliła dom i popełniła samobójstwo, powinno stać się dla nas sygnałem, że płyną między nami złe, zabójcze prądy.

**jeszcze jesteśmy
razem**

Okopcony balkon na IV piętrze. Puste sznury z klamerkami. Wybite szyby. Tu znaleziono martwe ciała. — Była podogniona — mówi sąsiadka przez sufit, z którą Alina J. była żyta na tej klatce — zapalke rzuciła, aby się zapaliła. W ten dzień, co sobie śmierć robiła, był telefon ze szpitala. Zawolałam, bo ona nie miała aparatu. „Czego, Alka, ciebie nie ma w pracy, lekarz się wścieka” — pytała ją koleżanka. „Powiedz, że mały jest chory, idę z nim do przychodni” — odpowiedziała. „Pani Alu — poprosiłam — wykupie mi małą.” Ona to tak szybko i sprytnie robiła. „Dobrze, ale to już ostatni raz.” Ja myślałam, że jej się znudziło ciągle mnie w tym wyreczać. Oni byli wspaniałym małżeństwem; tak dobrych sąsiadów już nigdy nie będziemy mieli. — Zona ich rodzinie zawsze mi za wzór stawiała — potakuje, przybyły z pracy, mąż mojej rozmówczyni. — Nie mogłam jej tego przebaczyć — opowiada inna mieszkanka tej

n a g r o d a

STR. 12

CIĄG DAJSZY NA STR. 4-5

W NASTĘPNYM NUMERZE: Dzień Matki ★ „Życie splacane butami” ★ Sejm powstańczy 1830—31 ★ „Mądrości poselskie” ★ Drugi odcinek „Ordynata Michorowskiego” — książki ostatnich sezonów ★ Łomżyńskie Dni Sportu ★ krzyżówka ★ „Pokusy” ★ odpowiedzi na krytykę.

4 ZEKUTYWA KW PZPR analizowała stan opieki profilaktyczno-lekarskiej w województwie. W miastach na jednego lekarza przypada u nas 4000 mieszkańców, podczas gdy (według wytycznych Ministerstwa Zdrowia i Opieki Społecznej) w poradnictwie ogólnym na jeden etat lekarski przypadać powinno co najwyżej 1500 osób. W Łomżyńskim pracuje 473 lekarzy (w tym 102 dentystów), 1151 pielęgniarów i 214 położnych, co sytuuje nas na jednym z ostatnich miejsc w kraju. Egzekutywa zapoznała się także z sytuacją w rolnictwie, w którym najważniejsze tendencje w dwóch minionych latach to: zmniejszenie się liczby gospodarstw specjalistycznych, ale również rolników, którzy nie sprzedali nic ze swej produkcji jednostkom gospodarki społecznej; mniej było też sprzedających produkcję wartości poniżej 15000 złotych.

W ZSL-u TRWA KAMPANIA zjazdów gminnych. W ostatnim tygodniu obradowali ludowcy w gminach: Rajgród, Sniadowo, Andrzejewo, Turośl, Wysokie Mazowieckie, Zaręby Kościelne i Zawady. Stałym tematem dyskusji zjazdowych są najpilniejsze problemy wsi — przede wszystkim określenie zadań oraz prawidłowe funkcjonowanie placówek obsługi rolnictwa i administracji terenowej. Nowymi prezesami Gminnych Komitetów ZSL zostali: w Rajgrodzie — Wiktor Putra, w Sniadowie — Irena Michałak.

POWOLANO JUŻ Wojewódzki Komitet Obchodów Święta Ludowego, który pod przewodnictwem prezesa WK ZSL, Czesława Gartycha, przyjął program tegorocznych uroczystości. Główną imprezą będzie spotkanie w Wysokim Mazowieckim w dniu 22 maja o godz. 11.00 na miejscowym stadionie.

WOJEWÓDZKI OSRODEK Kształcenia Politycznego organizuje od 25 do 29 maja cykl szkoleń dla sekretarzy Komitetów Miejsko-Gminnych, Komitetów Gminnych, sekretarzy POP PZPR, kierowników ROPP-ów i OPIW-ów. Główne tematy: program poprawy równowagi ekonomicznej, zadania i kierunki pracy partyjnej po XII Plenum KC PZPR i Plenum KW na temat pracy partyjnej w oświacie, aktualny stan stosunków państwo—Kościół w aspekcie wizyty papieża w Polsce, trzyletni plan społeczno-gospodarczy jako środek stabilizacji gospodarczej. Szkolenia odbędą się w ośrodku wypoczynkowym BGŻ-u w Okoniewku.

ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH jest Łomżyńskim 89. Na rejestrację oczekują związki: pracowników PGR-u w Grądach Wonięcku, pracowników Przedsiębiorstwa Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej w Szczuczynie, nauczycieli Zbiorczej Szkoły Gminnej w Piekutach Nowych oraz pracowników Związku Rolników Kółek i Organizacji Rolniczych przy Wojewódzkim Związku Spółdzielni Rolniczych. A co nowego w istniejących? — Helena Huszcza z Łomżyńskich Zakładów Przemysłu Bawełnianego „Narew”. — Do związku wstąpiło 180 osób. Jest już 5-osobowy zarząd i komisja rewizyjna. Mamy multum pracy: nad uzupełnieniem dokumentacji związkowej, a także wynikającej z naszego udziału w decydowaniu o sprawach placowych załóg. ◆ Danuta Gierwart z Oddziału Banku Gospodarki Żywnościowej: — Powiększa się liczba członków, regularnie wpływają składki, ale wszystko jest jeszcze w sferze organizacji. Wielu pracowników waha się: wstępować czy stać na uboku. ◆ Kazimierz Stachucki z Fabryki Aparatury i Urządzeń Komunalnych: — Ludzie nie wierzą jeszcze w stabilność sytuacji związkowej i dlatego chyba nie powiodło się kilkunastobowej grupie inicjatywnej. ◆ Teresa Zadra z Zespołu Opieki Zdrowotnej w Kolnie: — Na 430 pracowników do nowego związku należy 47 osób. Z rejestracją czekamy na większe grono. Na razie pracami kieruje 5-osobowa grupa założycielska.

WALNE ZGROMADZENIE przedstawicieli Wojewódzkiej Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej przyjęło 14 maja znowelizowany statut, uwzględniający postanowienia nowego

prawa spółdzielczego. W długotrwałej dyskusji wybiły się dwa wątki: potraktowanie producentów ogrodnich na równi z innymi w gospodarce żywnościowej oraz wydzielenie dla nich puli materiałów budowlanych, opału, ubrań ochronnych i roboczych; sprawy podatkowe. W drugiej kwestii zebrani zobowiązali Komisję Rozwoju Produkcji Ogrodniczej i Pszczelarskiej Rady Nadzorczej do sformułowania ich opinii i przekazania ustawodawcy. Najwięcej zastrzeżeń budziło symboliczne, zdaniem przedstawicieli, zwiększenie kwoty nie opodatkowanych dochodów, tj. 30 tys. złotych (czyli 10 proc.) na niepracującą żonę — w przypadku producentów ogrodnich do 100 proc., jak również kwoty na studiujące dzieci. Uwzględniane także w pełni powinny być straty w wyniku przypadków losowych.

ZARZĄD WOJEWÓDZKI Polskiego Czerwonego Krzyża, na posiedzeniu plenarnym w dniu 14 maja, spotkał się z licznym gronem honorowych krwiodawców, którym złożył podziękowanie i wyraził uznanie.

30-LECIE DZIAŁALNOŚCI obchodził w miniony wtorek łomżyński „kombinat” kultury przy ul. Sadowej, działający od 1953 do 1975 r. jako powiatowy, a od ośmiu lat jako Wojewódzki Dom Kultury. Do serdecznych gratulacji dołączamy życzenia udanego i szybkiego remontu sali kinowej, a także rychłego pozbycia się sublokatorów.

PRZEZ CZTERY MIESIĄCE br. łomżyńskie WPHW sprzedało towarów za 799,4 miliona złotych, tj. za tyle, ile przez siedem miesięcy ubiegłego roku. Dało to 112,6 proc. planu i pierwsze miejsce we wzroście obrotów wśród 46 przedsiębiorstw należących do Zrzeszenia Przedsiębiorstw Handlu Wewnętrznego. Poza umowami i rozdzielni-kiem udało się naszym handlowcom kupić w tym czasie towarów za 126 milionów złotych, a na III kwartał obiecują oni dodatkowo 106,3 tysiąca metrów tkanin bawełnianych, lnianych, wełnianych, jedwabnych.

KILKASET DZIEWCZĄT i chłopów z Ochotniczych Straży Pożarnych, strażaków zawodowych zgromadziły w niedzielę (15 maja) w Wysokim Mazowieckim III Wojewódzkie Zawody Pożarnicze oraz I Wojewódzkie Zawody Sportów Strażackich. Fotoreportaż z tej ciekawej imprezy — w najbliższych „Kontaktach”.

TRZYNASTY, PIĄTEK, był dniem wprowadzenia ustawy, zwanej potocznie nową antyalkoholową. Jakby na pożegnanie zezarzącego porządku, na ulicach Łomży spotykało się wyjątkowo wielu podchmielonych, podpiętych, a nawet zamroczonych rozmaitymi trunkami. Nowa ustawa, rygorystycznie przestrzegana, może w pierwszym okresie wpłynąć na zwiększenie ilości „trunkowych” w miejscach publicznych. Cóż poczną wypędzeni do trzeźwienia z miejsc pracy? Jeśli pogoda będzie sprzyjać — „odpoczną” na skarpie obok Muzeum Okręgowego, w „klubie pod orzechem” koło blaszaka na Południu, ale w deszcz? Może pójdą do kina, zwiększając powodzenie polskich filmów. A teraz serio: jest w tej ustawie ostatnia chyba szansa uratowania naszego kraju z powodzi alkoholizmu.

wiadomości kulturalne

DNI OŚWIATY, KSIĄŻKI I PRASY, wbrew pesymistycznym zapowiedziom, obeszły się bez wielkich kiermaszy książek i rozrywkowych festynów i przebiegają wśród tradycyjnych, licznych spotkań z pisarzami, dziennikarzami i aktorami

zdanie tygodnia

Rozpędzić chmurę nienawiści, a będzie żyło się pogodniej.

Władysław Liżewski,
delegat na zjazd gminny ZSL w Szumowie

myśl z atestem

Konieczność jest ślepa tylko o tyle, o ile nie została zrozumiana.
G.W.F. HEGEL

w klubach, szkołach i bibliotekach. **9 MAJA** red. Adam J. Socha spotkał się z czytelnikami „Kontaktów” w Zbojnej, 10 maja — red. Stanisław Zagórski gościł u uczniów Zasadniczej Szkoły Metalowej w Łomży, Danuta i Aleksander Wroniszewscy byli gośćmi klubów w Małym Płocku i Kątach, a następnego dnia w Chłudniach i Rogienicach. 19 maja na zaproszenie Miejsko-Gminnej Biblioteki w Zambrowie odbędzie się spotkanie autorskie z Henrykiem Gałą w Zbierzeźnicy i Laskowcu.

RYSZARD FARON, aktor Teatru Powszechnego w Warszawie, przedstawi „Obłok w spódnicy” Włodzimierza Majakowskiego: 19 maja w Grabowie i Szczuczynie, a 22 maja w Biebrzy i Mieczkach.

ŁOMŻYŃSKI BIG BAND pod kierunkiem Waldemara Borusiewicza wystąpi w Klubach Prasy i Książki „Ruch”: 22 maja w Bogutach, Przybyszewie i Skórcu, 29 maja w Osowcu Wsi, Goniądzu, Białosukni i Klimaszewnicy.

Z OKAZJI przypadającej w tym roku 100 rocznicy śmierci C. K. Norwida Oddział Wojewódzki Stowarzyszenia PAX w Łomży zaprasza na monodram według sztuki „Promethiden” tegoż poety, w wykonaniu Henryka Boukolowskiego. Po spektaklu, 20 maja (piątek), o godz. 18.00 w Klubie PAX-u w Łomży (ul. Rządowa 8) odbędzie się spotkanie z twórcami Teatru Adekwatnego w Warszawie — Magdą Teresą Wojejką i Henrykiem Boukolowskim.

PUNKT WIDZENIA

OKONGRESOWE NADZIEJE

MARIA KUJAWA, emerytowana nauczycielka w Łomży: — Z trybuny Kongresu wielokrotnie padało zdanie, iż należy zakończyć waśnie i spory, i wziąć się do roboty, by wydzwignąć kraj z kryzysu. W dyskusji zabrało głos około 90 delegatów z licznych środowisk, zawodów, stronnictw, partii politycznych i organizacji młodzieżowych. Był to więc głos wiarygodny, bo reprezentujący wszystkie klasy i grupy społeczne. W Radzie Krajowej, którą wybrano, połowę stanowią delegaci bezpartyjni. To znamienne i bez precedensu. Kongres zwrócił się do młodzieży, ludzi kultury, artystów o poparcie jego idei. Podobną mi się bardzo głos rolników — którzy powiedzieli: jeśli będziemy mieli stabilną politykę rolną, dostatek środków produkcji, Polska na pewno wyżywi się sama. Nie po raz pierwszy naród nie zawiódł się na patriotyzmie chłopów. Szkoda, że podobnych deklaracji zabrakło ze strony ludzi sztuki. Niezależnie od kongresowych obrad odbywały się spotkania resortowe. Przypadło mi brać udział w rozmowach z ministrem Zdrowia i Opieki Społecznej. Uczestnicy przedkongresowych spotkań zobowiązali mnie do „upomnienia” się u ministra o lekarzy specjalistów dla Łomżyńskiego. Liga Kobiet Polskich „poleciła” mi zapytać ministra, dlaczego skąpi środków na budowę domu emeryta w naszym województwie? W odpowiedzi na pierwsze pytanie obiecał zająć się tym problemem, z drugim odesłał mnie do wojewody, jako jedynego dysponenta środków finansowych i budowlanych w województwie. Byłam rozgoryczona, bo wcześniej właśnie wojewoda odesłał mnie z tym do ministra. Muszę ten problem pilotować aż do czasu, kiedy stary człowiek nie będzie się u nas włóczył od Annasza do Kajfasza. Przecież można było tę sprawę już dawno rozwiązać.

Kongres zapowiedział zmianę ordynacji wyborczej i opracowanie takiej, w której wybory będą prawdziwymi wyborami, a nie tylko głosowaniem.

Wróciłam podbudowana — PRON zaprezentował autentyczną narodową siłę, zdolną do naprawy Rzeczypospolitej.

wieści gminne

JEDWABNE. Członkowie GZRKiOR-u przeżywają rozterki, bowiem ostatnie propozycje podatków świadczą, że nikt ich nie konsultował z Organizacją. Jeśli wejść w życie — rolnicy będą musieli zrezygnować z opłat składek ubezpieczeniowych. Min. i o tych problemach dyskutować będą członkowie Organizacji 12 czerwca na gminnym zjeździe.

◆ Ciągłe nie rozwiązaniem problemem są drogi, nie więc dziwnego, że w ubiegłym i bieżącym roku 27 wsi (z 60 na terenie gminy) przeznaczyło FRR na ich budowę. Wnoszą też szkoły, np. mieszkańcy Konopek Tlustych i okolicznych wsi przeznaczili na nie FRR i dodatkowo się opouatkowali.

◆ Zwycięzcy konkursu „Wiecej mleka dobrej jakości” otrzymali w nagrodę konwie do mleka i rozdrabniacze do buraków, co zachęciło wiele kolejnych kobiet do rywalizacji.

◆ Poiki miejscowego sklepu są zapełnione nasionami kwiatów. Trzeba będzie zwrócić się do centrali nasiennej i przed sprzedażą w przyszłym roku zbadać siłę kiełkowania. Nadmiar nasion wyniwd prawoapodobnie stąd, że wcześniej wiosną GZRKiOR rozprowadzał niektóre bezpłatnie.

WĄSOSZ. Kandydowała się Gminna Rada PRON; przewodniczącym został Stefan Szejnóg, sekretarzem UG. Wsią przewodnią działania organizacji będzie przybliżenie świetnej tradycji Ziemi Wiskiej jej mieszkańcom.

◆ Są nadzieje, że do planu trzyletniego zostanie wpisana budowa szkoły w Wąsoszu. Wszystkie zależy od gestu Wojewódzkiej Komisji Planowania. Według wstępnych szacunków — szkoła kosztowałaby 60 milionów. Jej koszt należałoby obniżyć o wartość czynów społecznych. Przykładem społeczeństwa mogą służyć mieszkańcy Kędziorowa, którzy z budżetu państwowego wyasygnowali jedynie trzy miliony a resztę (10 milionów) zapłacili sami.

◆ W gminie jest 30 kawalerów w wieku 30—40 lat i ani jednej panny do wzięcia w tym wieku.

◆ Zle jest z podażą niektórych artykułów. Szczuczynski GS, opiekun wąsowskiej filii, za mało dostarcza oranżady, niesystematycznie przywozi chleb, w tym rzadko białe, nieczęsto trafiają do Wąsosza meble, rowery i poszukiwane artykuły gospodarstwa domowego.

◆ Spostrzeżenia strażaków po ostatnim przeglądzie wiejskich zagrod: w składzie komisji powinien znajdować się milicjant; zapłacenie mandatu nie oznacza jeszcze usunięcia zanieczyszczenia przez właściciela posesji; brakuje bezpieczników, ale bardziej zapobiegliwi potrafia grozić ich całe wiadra (np. w Sulawie). W innej wsi komisję poprzedzał komplet dyżurnych bezpieczników, którymi na czas kontroli zastępowano „watowane”.

SZCZUCZYN. Przed czasem próby stoi miejscowa Spółdzielnia Mieszkaniowa. Na liście oczekujących jest 92 członków, a mieszkań będzie 57. Wiadomo, że 9 lokali trzeba przekazać mieszkańcom wyburzonych domów. Spółdzielnia o dziedziczyła też po WZSM-ie umowę, w myśl której 40 proc. oddanych mieszkań trzeba oddać budowlanom, czyli PBR-owi. Listy szczęśliwców zostaną wywieszone 20—22 maja.

◆ Gromadzona jest dokumentacja do budowy kotłowni osiedlowej. Przed jej ukończeniem deficyt ciepła trzeba będzie zlagodzić przez rozbudowę już istniejącej, ale nie jest to łatwe, bowiem na dobudowanie drugiego kotłowni wymagana jest zgoda ministra Administracji, Gospodarki Terenowej i Ochrony Środowiska.

◆ Wykonano nową kalkulację kosztów centralnego ogrzewania. Dzięki czemu obniżyła się cena mieszkań, np. M-4 o 265 złotych, a M-3 o 125 złotych. Dalsza obniżka czynszów nastąpi ewentualnie po analizie cen za wywóz nieczystości.

◆ W WDT z sifitu — w podstawione wiadro — kapie woda z instalacji przeciwpożarowej. Prawdopodobnie strażacy informują w ten sposób, że zbiorniki są pełne wody.

◆ Brakuje nabywców na niektóre artykuły w szczuczynskim GS-ie. Coraz trudniej sprzedać napoje, chleb, ciasto, a nawet alkohol. W maju pogorszy się zaopatrzenie w

CIĄG DALSZY NA STR. 15



Wystawa „Z tradycji ruchu robotniczego w Łomżyńskim”, otwarta w przededniu Święta Pracy, prezentuje zdjęcia, foto- i kserokopie dokumentów, doskonale technicznie reprints oraz — mniej liczne, ale za to o dużej wadze dokumentalnej — oryginały wypożyczone z Muzeum Polskiego Ruchu Rewolucyjnego w Warszawie oraz Muzeum Ruchu Robotniczego w Białymstoku. Kopie dokumentów pochodzą ze zbiorów Centralnego Archiwum KC PZPR i Archiwum Akt Dawnych w Warszawie oraz Państwowego Archiwum i Archiwum KW PZPR z Białegostoku. Całość ekspozycji uzupełniają obrazy, grafiki i rzeźby wypożyczone z wymienionych Muzeów.

Podział sal ekspozycyjnych jest wynikiem naturalnego podziału tematyki na trzy okresy chronologiczne. Salę pierwszą — lata 1948—1918 — otwiera pierwsze polskie tłumaczenie „Manifestu Komunistycznego”, dokumentu zwiastującego narodziny socjalizmu naukowego. Dalej — przez I i II Międzynarodówkę, Komunię Paryską z nielicznymi dokumentami wskazującymi na udział w nich Polaków — dochodzimy do tematu już ściśle polskiego. Symboliczna mapa bez granic Polski ma uświadamiać widzowi sytuację polityczną narodu bez państwa, kiedy sprawy walki o prawa proletariatu łączyły się z problemem wolności kraju. Zdjęcia „Proletariatu” i dokumenty tej pierwszej partii ro-

botniczej na ziemiach Polski kończą tę część ekspozycji.

Na następnych planszach i gablotach — zdjęcia i nazwiska założycieli SDKPiL-u i PPS-u w Łomży, działających w okresie poprzedzającym rewolucję 1905—1907 r. Wśród dokumentów — fotokopie mówiące o przemycie rewolucyjnej „bibuły”, o aresztowaniach członków SDKPiL-u, PPS-u i żydowskiego Bundu na terenie guberni łomżyńskiej oraz o przenikaniu „wywrotowej” myśli garnizonów rosyjskich na tym terenie.

Daleko szerzej rozbudowany jest okres rewolucji 1905 r. TU — obok zdjęć i dokumentów, które dotyczyły całego Królestwa Polskiego — znajdują się dokumenty ze znanego strajku szkolnego w Łomżyńskim (z oryginalnym świadectwem odnotowującym fakt uczestnictwa) oraz wiele informacji o strajkach robotniczych, obejmujących teren całej guberni. Ciekawym eksponatem jest bluza z łomżyńskiego więzienia, w jakich odbywały kary poważne gro- no rewolucjonistów.

Następny dział ilustruje okres I wojny światowej. Wśród pamiątek ciekawe zdjęcia Łomży i Kolna oraz rozliczne dokumenty polskie, wydane na ziemiach polskich i w Rosji, a mówiące o Rewolucji Październikowej i stosunku do niej polskich partii robotniczych. Uzupełnieniem jest spis nazwisk ponad 30 uczestników Rewolucji, pochodzących z terenu obecnego województwa łomżyńskiego.

Sala druga to lata 1918—1939, a więc okres walk klasowych już w niepodległej Polsce. Są tu m.in. dwa dokumenty łomżyńskiej Rady Delegatów Robotniczych z 1918 r., zdjęcia oraz sztandar Tymczasowego Rewolucyjnego Komitetu Polskiego w Białymstoku z 1920 r. Szeroko udokumentowanym tematem jest powstanie i działalność KPP. Obok dokumentów i zdjęć można zobaczyć cały poczet działaczy szczebla centralnego i miejscowych, pracujących w Komitecie Okręgowym KPP w Łomży, a także — nadzwyczaj interesujące i cenne — oryginały transparentów i ręcznych afiszów z Łomżyńskiego. Tu też wystawa prezentuje łomżyński PPS i oryginalny sztandar tej partii z lat 1918—1919. Wśród sojuszników KPP jest PPS-Lewica (i jej znakomita jednodzielnka z 1926 r.), a także Niezależna Partia Chłopska i Zjednoczona Lewica Chłopska „Samopomoc”.

Wyodrębniony został dział przedstawiający więzienie łomżyńskie, w

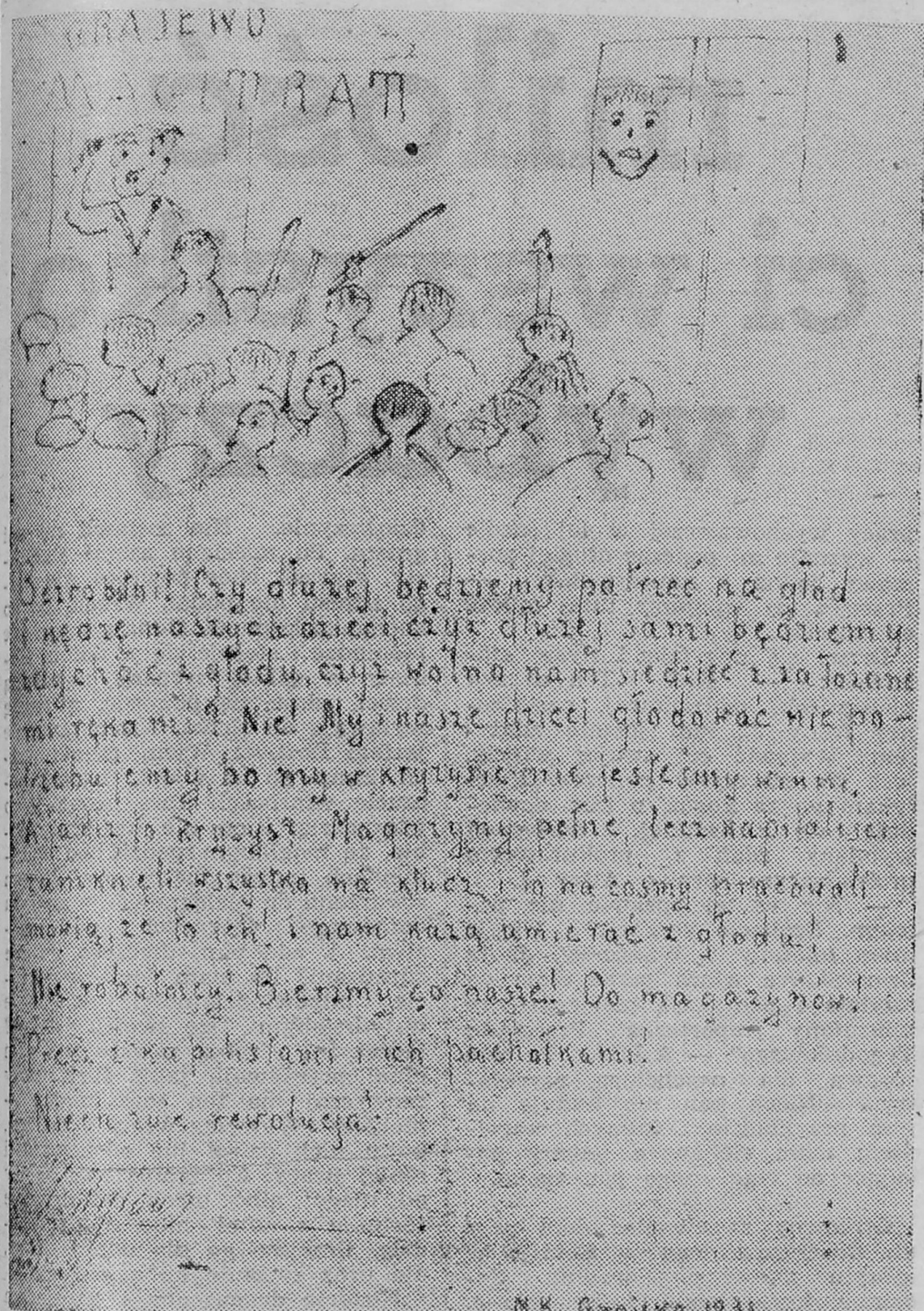


którym starostami Komuny byli tacy działacze, jak Aleksandar Zawadzki, Marian Buczek i Jan Turlejski. W gablocie znajdują się interesujące pamiątki, m.in. notatnik z dowcipami rysunkowymi z życia więźniów politycznych.

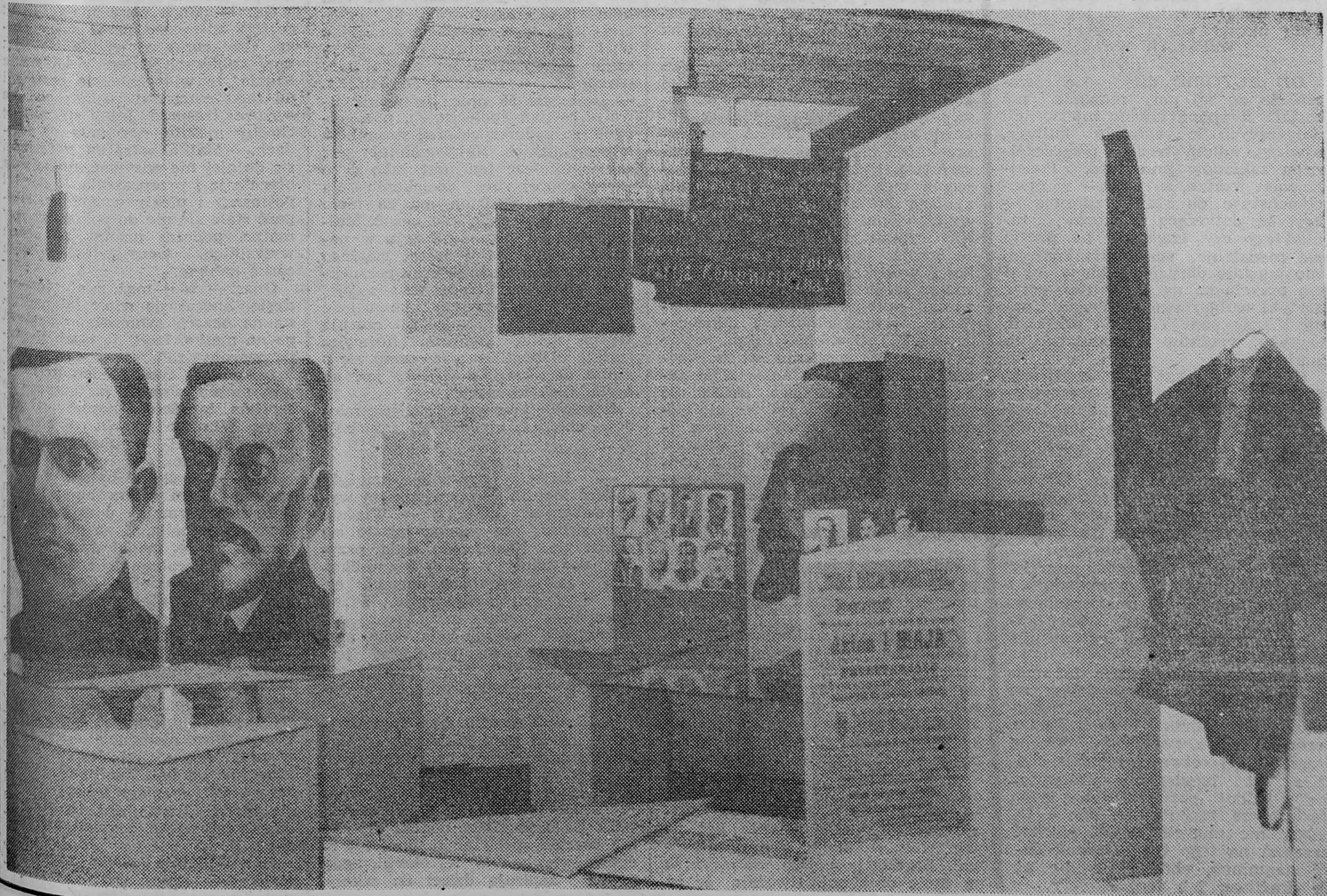
Trzecia sala ilustruje lata 1939—1948. Ten krótki okres obfitował w dramatyczne wydarzenia, dlatego wymagał ogromnej selekcji dokumentów, aby na małej powierzchni zasignalizować przynajmniej najważniejsze. Przypomina on walkę i męczeństwo ludności, powstanie PPR-u, utworzenie armii polskiej w ZSRR i jej marsz ku zwycięstwu. Przy Manifestie PKWN-u można obejrzeć dokumenty dotyczące reformy rolnej na naszym terenie tworzenie się PPR-u i PPS-u oraz — nadzwyczaj charakterystycznego i wyjątkowo burzliwego dla Łomżyńskiego — okresu walk o utrwalenie władzy ludowej. Końcowe akcenty wystawy mówią o stopniowym zacieśnianiu współpracy między partiami aż do Kongresu Zjednoczeniowego w Warszawie w 1948 r.

Wystawę — starannie przygotowaną przez Muzeum Okręgowe w Łomży, a pomysłowo rozwiązana wizualnie przez Stanisława Kędzielawskiego — można oglądać do końca sierpnia. Nastrój tworzony przez cenne pamiątki pogłębiają dźwięki muzyki nierozdzielnie związanej z ruchem robotniczym.

Zdjęcia Gabora Lőrinczego



M.K. Grajwa 1931.



to już sto lat

kontakty kontaktów

Miałem wątpliwą przyjemność przeczytać w numerze 17 tygodnika „Kontakty” artykuł pióra redaktora Aleksandra Wroniszewskiego pod fascynującym tytułem „Szkoła chamstwa”. Ukazanie się tego artykułu nasunęło mi kilka refleksji, z którymi chcę się podzielić.

Służba zdrowia zawsze była i jest nadal wygodnym chłopcem do bicia według starej zasady, że służbę trzeba trzymać krótko, a dobrze czasami lać w mordę. Ponadto bezpечноj jest zajmować się plotkami krążącymi wokół tego tematu i wywoływać niezdrowe emocje w społeczeństwie, aniżeli — na przykład — próbować wyjaśnić, dlaczego budowa nowego szpitala w Łomży będzie trwała jeszcze około lat piętnastu, mimo że stary szpital „pęka w szwach”. Można tu opierać się na relacjach omdlałych kobiet lub ich dzieci i nie przejmować się tym, jak było naprawdę. Ale na to może pozwolić sobie dziennikarz, a nie dyrektor szpitala, od którego nie można wymagać, by bez zbadania sprawy wyrzucił portiera z pracy tylko dlatego, że otrzymał sygnał od pana redaktora, nawet jeśli jest to redaktor tak poczytnego pisma, jak „Kontakty”. Podobnie jeśli ja zadzwonię do redaktora naczelnego twierdząc, że redaktor Wroniszewski pisze bzdury, nie będzie to powód nakładania na tego ostatniego surowych sankcji, ponieważ pogląd mój może być całkowicie subiektywny lub wręcz błędny.

Mieszkam w Łomży od niedawna, ale powoli przestaję się dziwić, dlaczego tak często zmieniają się tu dyrektorki szpitala.

Odnosnie, barwnie opisywanych w artykule, ciągłych omdleń kobiet, usiłującej dostać się do szpitala, twierdząc, iż takie omdlenia, których przyczyną są stresy psychiczne, można oglądać jedynie w przedwojennych filmach w wykonaniu starych hrabiń i zblizkowanych księżniczek. Wraz z zanikiem tej kasty kobiet zniknęło również to zjawisko. Natomiast dzieci do szpitali nie wpuszcza się we wszystkich cywilizowanych krajach i to nie dlatego, by im wyrządzić krzywdę, tylko właśnie dla ich dobra.

Reasumując: problem, przy której ulicy mieści się szkoła chamstwa, nie jest jeszcze do końca wyjaśniony i redaktor Wroniszewski może nadal rozwijać na tej niwie swój ukryty talent pisarski.

WIESŁAW WENDERLICH
ŁOMŻA

OD AUTORA: dziwię się szczerze, że do tej pory redakcja nie została zasypana lawiną interwencji dotyczących krzywdzenia kultury, oświaty, administracji, poszczególnych zakładów pracy itd. Podejrzewam jednak, że tam — w przeciwieństwie do służby zdrowia — krytykę dotyczącą portierów, zamiataczy czy kucharek po prostu się rozpatruje, podejmując później odpowiednie decyzje. Nikomu jakoś nie przychodzi na myśl utożsamiać krytyki wulgarnego zachowania pana X. czy pani Y. z, na przykład, krytyką wyników produkcyjnych zakładu.

Gdyby mieszkał Pan w Łomży dłużej, to może by Pan rzeczywiście wiedział, dlaczego dyrektorki szpitala tak często się zmieniają oraz to, że niespełna trzyletnie „Kontakty” nie odegrały w tym żadnej destrukcyjnej roli. Od początku istnienia pisma relacjonujemy kolejne perypetie przy budowie szpitala, przychodni itp. Zapraszamy do naszego archiwum.

Mój „ukryty talent pisarski” okazał się niczym w porównaniu z Pana lwim pazurem w sformułowaniu niewybrednych ocen wobec kobiet, na którą spadł ogrom nie-szczęść.

Ja napisałem: „Dlatego też może warto byłoby, bez względu na wyniki, jakie przyniesie dwutygodniowe dyrektorskie dochodzenie, porozmawiać z portierami trochę «szczerzej» i «otwariej»”. Nie chodziło mi bawem o „zniszczenie” jednej portierki za jedno niefortunne zachowanie, ale o to, byśmy nie musieli więcej słuchać narzekania na tego typu (jednak dosyć nagminne, choć może nie aż tak drażliwe, jak ten) ekscesy.

CIĄG DALSZY ZE STR. 1

klatki. — Było gdzieś koło jedenaściej godziny, gdy wpadła biała i przerażona sasiadka. „Pali się u państwa J. Potrzebna jest siekiera do wyważenia drzwi!” Sasiad w jednej chwili był w środku. Duszący dym buchnął z mieszkania. Wyskoczył pies. Sasiad wywalił szybę do po-koiku dzieci. Myśleliśmy, że to one zaproszyły ogień. Zaraz przyjechała erka, zabrała dzieci. Na balkonie została ona z pielęgniarką. Próbowali ją ratować... Dlaczego tak? Przecież są inne sposoby: rozwód, alimenty... — W literaturze prawniczej odnotowany jest tylko jeden taki przypadek — informuje mnie rzecznik prasowy Prokuratury Wojewódzkiej w Łomży — otrucie własnych dzieci przez Goebbelsa.

W niedzielę był pogrzeb, na który, jak powiedziała mi jedna z uczestniczek, poszła cała Łomża prócz kalek i starców. — Starcy i kalecy też poszli — prostuje inny świadek. — Atmosfera sensacji i podniecenia. Na tle jasnego nieba — ruchomy, skrzydlaty parasol „sępów”. Kilku z nich zawisło na drzwiach kostnicy. „O, ooo! Otworzyła jedno oko! Kto? Dziewczynka. Gdzie? Gdzie? Posuńcie się, ja też chcę zobaczyć. Na kogo spojrzęła, tego zabierze z sobą. O, Boże!” „Słyszala pani... Co pani powie? A on, proszę pani... tak, tak...” „Mnie mówiła ich znajoma, że...” „Ja wiem, proszę pani, coś lepszego. Ależ tak! Kto by pomyślał...”

Kondukt rusza. „Sępy” przysiadły na cmentarnych drzewach. Oglądają jedyny w swoim rodzaju, niepowtarzalny teatr — życie płacony. „Patrzcie, prowadzą go... Nawet przystojny. O, płacze. Nie pchaj się pan! Co za chamstwo, nie widzisz, że... Stul pysk!”

— Wielu się oburzało — rozmawiamy tydzień po tragedii — „Jak książkę może morderczynię chować?” Przecież dzieci musiałem wyprowadzić; miałem oddzielić je od matki? Każdy ma prawo zbłądzić. Czy pan sobie wyobraża, jak by ten tłum idący za trumnami wyglądał bez krzyża? Nie pozwoliłem na śpiew w kościele; wówczas właśnie krążył ploteczki. Rozpocząłem homilię od cytatu z Sartre’a: „Przeklinam dzień mego urodzenia, każdą chwilę mego życia...” Zestawiłem go z ewangelicznym: „Każdy dzień jest dobry, żeby się urodzić, najszczęśliwsza jest chwila pogodnej, błogostawionej śmierci”. Również z Ewangelii opowiedziałem o dwu uczniach idących do Emaus. Wyszli z tego miasteczka nędzy, żeby zrobić karierę przy Chrystusie. Zawiedli się i wracają, skąd wyszli — drogą donikąd. Nad tym żalobnym konduktem zawiesiłem znak zapytania: dokąd idziemy?

— Trochę czuję się winny — mówi dalej proboszcz parafii — tej kobiecie zabrakło wsparcia duchowego. Jestem zbyt pochłonięty budową kościoła. Jej śmierć jest wykrzyknikiem, znakiem dla społeczeństwa, które żyje w epoce zderzenia wysokiego poziomu techniki z niską kulturą. Kultura została wyjałowiona z głębszych wartości. Nie wypalił kierunku wychowania. W szkole spartańskiej od maleńkości wyciskano z człowieka maksimum możliwości. Wychowanie powinno opierać się na dwóch filarach: samodzielności i odpowiedzialności człowieka. Praprzyczyną zwichnięcia systemu wychowawczego upatruję w załamaniu się autorytetu rodzicielskiego. Dzieci nie szanują rodziców, a rodzice nie cieszą się z dzieci. To wynik także uporczywego lansowania wzorów konsumpcyjnych. Człowiek z podmiotu stał się przedmiotem. Ta tragedia nie jest sprawą udanego czy przegranego małżeństwa, lecz wiarą w życie i jego naczelną wartość. Dla wielu ona stała się bohaterką. Pozostał jej mąż. Trzeba mu pomóc wrócić do równowagi. Pomóc, by nie uczynił tego, co ona.

Cicha uliczka z domkami jednorodinnymi; ten, przy którym rozmawiam z matką Aliny J., wygląda na najuboższy. Dostępu do niego strzegą dwa potężne psy. Jeden to wilczur państwa J., który — według wieści gminnej — miał zostać otruty tamtego dnia. — Krąży różne, wyssane z palca, wersje o śmierci mojej córki — matka Aliny J. ma opanowany, spokojny głos. — On był po pogrzebie w moim domu. Noco-wał. Bardzo przeżywa. Sąsiedzi są na mnie oburzeni. Uważają, że za

próg nie powinienam go była wpuścić, a pomiędzy naszymi rodzinami musi być wieczna nienawiść. Nie chcę nienawiści!

— Lekcja zajęć praktycznych w Liceum Pielęgniarskim w Łomży, którego absolwentką była Alina J. Zakwitające dziewczęta w biele myją celuloidowe dziecko.

— Bardzo przeżywałam tę tragedię. Bez względu na przyczynę, jej krok uważam za klęskę mojej

ADAM JERZY
SOCHA

miłość ci wszystko wybaczy

pracy wychowawczej w tej szkole — wyznaje mi podczas długiej rozmowy jedna z nauczycielek. — Przecież my wpajamy tutaj miłość do dziecka...

Drzwi się uchylają i słyszę stanowcze: — Nie! Ten okrzyk pielęgniarki oddziałowej, przełożonej Aliny J., nim jeszcze zdążyłem wyjawiać cel swojej wizyty, jest jak siarczysty policzek. Przeli-kam go za kogoś, o kim dowiaduję się z krótkiej, nerwowej wymiany zdań z prokuratorem prowadzącym sprawę Aliny J.

— Nic w tej sprawie nie powiem. Szukacie sensacji? Ciagle mam telefony z Warszawy. Jacyś dziennikarze wślazą przez okna do szpitala i podkują pielęgniarkom mikrofony [reporterka „Przeglądu Tygodniowego” — A.J.S.]. To jest sprawa dla psychologa, psychiatry... Niech pan nie buduje na tym przykładzie żadnych uogólnień; mam ciekawsze tematy pასujące do tego, czego pan szuka.

Obskurny z zewnątrz dom przy ul. Świerczewskiego w Łomży, w którym mieści się Poradnia Rodzinna, kryje ładne, jasne pokoje.

— Jeżeli przyjmiemy, że ona była chora psychicznie, to przecież tego typu dewiacje są tylko w 1 proc. uwarunkowane genetycznie — wyjaśnia mi młoda pani psycholog — Joanna Dardzińska. — Pozostałe 99 proc. to wynik uwarunkowań społecznych, politycznych, gospodarczych oraz stosunków międzyludzkich. Najwygodniej jest zaklasyfikować ten fakt jako czyn osoby chorej bez dociekania tła społecznego. Rodzina ma za mało czasu na pielęgnowanie uczuć. Małżonkowie są zaganiani, żyją w poczuciu niepewności jutra, ciągłego zagrożenia, odczuwają brak perspektyw, gubią się, tracą sens swojej wspólnoty, w pewnym momencie nie wytrzymują napięcia, rzucają się na siebie, warczą. Różewicz trafnie to określił: „Ocieramy się o siebie do krwi, a żyjemy jak na bezludnych wyspach”.

Rozmowę przerywa przyjście młodego chłopca, niedosłego samobójcy...

— Dzieci strasznie przeżyły śmierć Moniki — opowiada mi wychowawczyni klasy I. — Właśnie wychodziły ze szkoły, jak to się wydarzyło. Następnego dnia przyszły do szkoły z masą komunikatów zasłyszanych w domach: co, jak, dlaczego. Uciszyłam je. Przed pogrzebem mówiły mi: „Proszę pani, my nie możemy hałasować, musimy być poważne, bo dzisiaj jest pogrzeb Moniki”. Nie, w szkole nie było żałoby i tylko moja klasa była na pogrzebie.

— To już zaczyna być niepokojące — mówi pani pedagog. — Mam coraz więcej dzieci z rozbitych małżeństw. Dzieci ukrywają to, bo czują się upokorzone. „Koleś ma tatusa, a ja nie”. Część matek też oślania ten fakt, dopóki dziecko nie zacznie sprawiać trudności wychowawczych. W tej chwili, gdy matki zapisują dzieci do szkoły,

wiele z nich podaje takie dane o rodzinie: „Jeszcze jesteśmy razem”.

sceny z życia małżeńskiego

W dwu typowych mieszkaniach osiedla Jantar, w którym wydarzyła się tragedia, wysłuchuję dwu historii małżeńskich.

— Mąż pewnego dnia, nie uprzedzając mnie ani jednym słowem, wyjechał w siną dal — opowiada przystojna, smukła, młoda kobieta, matka dwojga małych dzieci. — Nie wiem, co zobaczył w tamtej

dziewczynie. Nie zostawił mi ani grosza. Po miesiącu zaczął ślać listy. Wyrzucił chęć powrotu. Ale swego adresu nie podał. Wrócił, bo go kochanka kopnęła. Oddaje wszystkie pieniądze i stołuje się w domu. Kobiety w takiej sytuacji nakarmiają dzieci, same się pożywają, a resztę wylawają do zlewu. Niech tam, nie jestem złośliwa. Wiem, czemu wrócił. Znam go na wylot. Samce pocucie własności. Tak, jestem jego własnością, i on nie wyobraża sobie, że mogłabym spędzić noc w ramionach innego mężczyzny. Jestem stworzona do pielęgnowania ogniska domowego, wierności i posłuszeństwa. A wie pan, dlaczego go nie zdradzam? Bo mam większe poczucie odpowiedzialności; a może wstydziłabym się swoich dzieci? Mężczyźni robią zawsze ten sam błąd: przeżywają jakiś flirt, który zazwyczaj ma ten sam koniec — pieluchy. Wówczas wracają do żon, bo u nich dzieci już odchowane i mniej pracy. Co zrobić? To zależy od niego; albo niech definitywnie zostanie z nami, albo niech odejdzie. Przyjmę go dla dobra dzieci, ale uraz zostanie na całe życie.

Historia druga: ona i on siedem lat po ślubie; jedno dziecko.

On: — Moja żona mając 14 lat została odtępiona przez swoją matkę. Gdy córka zwierzyła się jej z tzw. kobiecych dolegliwości, matka uznała, że widocznie się puszcza, i od tego momentu została poddana surowej tursurze. Jeżeli spóźniła się choćby minutę, nocowała na schodach. Matka potrafiła miesiącami się do niej nie odzywać, mimo że ta błagała ją i przepraszała. Ojciec był posłuszny i uległy woli żony. Przepaść stała się nie do pokonania, gdy matka, podczas urlopu, na oczach wszystkich wczasowiczów, zbila córkę kablem.

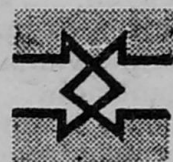
Ona: — Mój mąż miał ojca — sadystę. Znęcał się wiele lat nad żoną na oczach syna. Napuszczał też go na matkę. Lżyli ją obaj. Nie będę wprowadzała pana w ten koszmarny, podam tylko jeden przykład: gdy matka wróciła po operacji ze szpitala, tatuścio porozrywał jej szwy. Wkrótce zmarła. Ojciec odszedł do innej kobiety, a 14-letni syn został sam.

On: — Po ślubie było różnie, ale ogólnie byłem zadowolony; miałem nareszcie normalny dom z obiadem i czystą pościelą. Żona od początku zaczęła mnie modelować jak plastelinę. Wyprała mnie z osobowości. Stałem się kukielką. Zaczęłam dostrzegać w niej rysy charakteru matki. Była apodyktyczna i bezwzględna.

Ona: — Chciałam zrobić z niego człowieka; udowodnić matce, która potępiła moje małżeństwo, że dobrze wybrałam. Mąż zaczął się uczyć, po ludzku ubierać i zachowywać. W pewnym momencie odezwał się w nim jego ojciec. Jestem bardzo wrażliwa na ból. Znał mój najczulszy punkt i w niego uderzył. Zaczęłam się znechęć. Powiedział, że będę się dziękowała, jeśli pozwoli mi oddychać.

On: — Zdaję sobie sprawę, że stałem się agresywny. Jest to sil-





Dziennie do PPS-u trafia ok. 1000 ton ziemniaków, w których — według oceny pracowników produkcji — jest 20—30 ton piasku. Pracownikom ekspedującym ten towar z punktów skupu służy on do tuszowania czarów-marów z wagą, zaś zakład buli grubą forszę za transport. Wprawdzie przerabianie piachu wraz z ziemniakami skraca żywotność urządzeń technicznych, ale za to uniezależnia nas od eksporterów piachu, np. z Sahary.

Wracając samochodem do domu dnia 4 kwietnia br. obywatel zatrzymał się przed zamkniętym szlabanem na przejeździe kolejowym w Sniadowie. Nagle szlaban się uniósł, więc naiwny obywatel ruszył i... znalazł się na przejeździe. A wtedy poprzeczki opadły. Dyżurny kolejarz zażądał pierw tysiączka, następnie — dwóch. No i nareszcie zaplanowała jedność co do ważności atrybutów władzy: kto ma szlaban, ten dyktuje warunki.

Dyrektorka przedszkola nr 7 w Łomży przy ul. Armii Czerwonej zwróciła się z prośbą do Wojewódzkiej Dyrekcji Inwestycji o uporządkowanie bałaganu na sąsiadującym z przedszkolem placu, który działa demoralizująco na najmłodszych. Dyrekcja zdecydowanie odparowała higieniczne zakusy przedszkolanki argumentem nie do zbicia: zabalaganiony plac leży na terenie władania wojewody. Odtąd śmietnik za płotem jawi się wszystkim użytkownikom placówki wychowawczej jako ogrody Semiramidy.

Kolneńska Spółdzielnia Mieszkaniowa — w trosce o zmniejszenie głodu mieszkaniowego w Stawiskach — fundnęła im 12-mieszkaniowy blok. Przekazanie kluczy zostało wyznaczone na 1 kwietnia, i tylko tą datą można tłumaczyć morze biota wokół budynku, piwnice z wodą, mieszkania bez drzwi, łazienki bez wanien, kanalizację bez ujścia. Prezesowi wystarczyło poczucie humoru do pierwszych skarg lokatorów. Następnie postawił sprawę po męsku: „Moja noga już w Stawiskach nie postanie”. I słusznie, bo po co komu nogi prezesa, skoro nie naszą głowę?

Pytanie w „Kuponie konkursowym” („Kontakty” nr 18/83) brzmiało: „To dla niego w ostatnim dniu igrzysk (w Moskwie) zabrzmiał Mazurek Dąbrowskiego. Kto to był i w jakiej konkurencji zdobył złoty medal dla naszego kraju?” A oto odpowiedź nadesłana z Łomży: „Józef Wybicki. W konkurencji piosenki wojskowej”. Generał Henryk Dąbrowski startował natomiast jako woltżer na batucie.

Reforma — reforma, a zaplanowane ustugowo przedsiębiorstwa muszą z czegoś żyć. Instytucje korzystające z taboru Przedsiębiorstwa Transportowego Handlu Wewnętrznego od lat ubiegają się o własną bazę samochodową, zaoszczędzić grosza by chciały, a taniej od usług PTHW wydają im kursy taksówkami. Ale nie ma dla nich przydziałów samochodowych, brakuje benzyny. I co to w ogóle za fanaberie takie myślenie o samodzielności! W jednej kieszeni pieniądze mogą przecież dostać duszności i znów wybijemy z ręki oręż Heraklitowi.



skiego? A w związku wstępują jeszcze dzieci...

W Liceum Ogólnokształcącym im. Tadeusza Kościuszki pytam napotkanych na korytarzu uczniów, co im zostało w pamięci z lekcji wychowania w rodzinie, które — wprowadzone w roku 1976 do szkół średnich — wegetowały do roku 1980, następnie zostały „wcielone” do lekcji wychowawczych. — Nie wiele, właściwie nic — odpowiada — zazwyczaj odrabialiśmy na nich zadania z innych przedmiotów.

— Nie jestem za tym, żeby minister formalnie wprowadził taki przedmiot — przedstawia swój punkt widzenia długoletni nauczyciel Liceum. — Musiałaby istnieć dobrze przygotowana pod względem fachowym i pedagogicznym kadra. Jeżeli ktoś chce zostać nauczycielem czy dziennikarzem, musi zdobyć dyplom. Ojciec czy matka może być każdy, i nie sądzę, aby lekcje wychowania w rodzinie kogokolwiek do tej roli przygotowały.

W kwietniu był szczególnie tłok na ślubnym kobiercu łomżyńskiego USC. Tylko 30 IV stanęło na nim 16 par. Rocznie marsza Mendelssohna wysłuchuje ponad 400 par. Liczba ta od kilku lat jest stała. Dziewczęta mają po 19—20 lat, mężczyźni: 23—25. Spory procent stanowią małżeństwa z ciążą. Dziennie do USC z Wydziału Rodzinnego Sądu Wojewódzkiego w Łomży trafiają odpisy trzech akt rozwodowych.

— Liczba rozwodów stale rośnie — mówi pani sędzina. — Od 263 w roku 1976 doszliśmy już do 416 w roku ubiegłym. Rozchodzą się małżeństwa z kilkuletnim stażem, najczęściej robotnicze lub rolnicze. Powody podają bardzo banalne, co świadczy o tym, że małżonkowie nie są przygotowani do życia.

Dzieci już nie służą cementowaniu rodzin.

I Bóg stworzył człowieka. A człowiek resztę.

danie za rok 1982”: „pogadanki zbiorowe i indywidualne — USC dla tych, którzy zawrzeć mają związek małżeński, na zebraniach rodzicielskich w szkołach o zapobieganiu ciąży i problemach psychofizycznych rozwoju dziecka, 15 prelekcji na komisji poborowej — choroby weneryczne, kultura współżycia seksualnego, 31 spotkań w internatach — rozwój społeczny młodzieży z uwzględnieniem aspektów inicjacji seksualnej [...] Liczba zgłoszeń indywidualnych w poradni rodzinnej — 59”.

— Towarzystwo ma duże pole do działania — uzupełnia sprawozdanie jego sekretarz, Mieczysław Raś — ale ograniczone możliwości. Finansów starczy tylko na 25 prelekcji, a i wykrusza się kadra prelegentów. Towarzystwo nie jest w stanie zastąpić wszystkich instytucji w leczeniu schorzeń występujących w różnych dziedzinach życia, które rzutują na sytuację rodzinną.

— Jeśli chodzi o ciało, rodzina polska jest zdrowa — odpowiada dr Zenon Sztykiel, ginekolog i seksuolog, kierownik Poradni Rodzinnej.

— Co się natomiast dzieje z duchem, tego nie wiem. Mogę tylko przekazać swoje obserwacje. Zgłaszają się do mnie nastolatki po zaświadczaniu, że są w ciąży, by dostać ślub. Biorą go nie mając ani mieszkania, ani ukończonej szkoły. Albo usuwają ciążę. W Danii czy Szwecji życie seksualne młodzieży jest chlebem powszednim, ale tam ma ona świadomość konsekwencji i stuprocentowe środki zapobiegawcze. U nas współżycie młodych też jest chlebem powszednim, ale bez tych środków i bez kultury. Kto ma ich jej uczyć? W Polsce jest najwyższej sześcioro seksuologów zasługujących na to miano. Kościół nie da ślubu bez wysłuchania nauk przedślubnych; dlatego USC nie może wymóc również wysłuchania prelekcji dotyczących życia małże-

niejsze ode mnie. Przepraszam ją, mija pół godziny i znowu dostaje furii. Zagroziła mi rozwodem. Wolałabym tego uniknąć. Bardzo jestem związany z dzieckiem. Ale żona nie ułatwia zgody, tylko pozornie do niej dąży.

Ona: — Po tym, co mi zrobił, czuję wobec niego odragę fizyczną. Próbowałam szukać porozumienia, odrzuciłam każde moje wyciągnięcie ręki. Jest we mnie mieszanina niechęci wobec tego człowieka z jakimś resztkami uczucia, którym go darzyłam. Jeśli zgodzę się pozostać, to wyłącznie ze względu na dziecko. Ten mur jest już zbyt wysoki.

Przeglądałam w Tomendzie Miejskiej MO w Łomży „Księgę interwencji — 1983”. W słupkach, dzień po dniu, jednobrzmiące zapisy: „Awantura domowa”. Od stycznia do 27 kwietnia 1983 było 213 takich wpisów. Co kryją te lakoniczne słowa? Mówią o tym raporty o mąż i ojcach rodzin, którzy nie dali się poskromić w domach i noc spędzili w areszcie — do momentu wytrzeźwienia. Jeden z wielu raportów: „Pobił telewizor, muszę kłózetować. Całą rodziną wypędził z domu i powiedział, że ich pozabija”.

— Codziennie interweniujemy przynajmniej trzy razy — wyjaśnia komendant. — Telefonów mamy o wiele więcej, ale jesteśmy w stanie pojechać tylko tam, gdzie sytuacja wydaje się na ostrzu noża. W tej chwili, po pasywności i alkoholizmie, pożycie małżeńskie jest w naszej pracy głównym problemem.

dz eci mają dz eci

O działalności Towarzystwa Planowania Rodziny mówi „Sprawoz-



Jestem członkiem Partii zaledwie pół roku. W porównaniu z jego długoletnim stażem to kropła w morzu doświadczeń, dramatów osobistych, wynikających często z czyjejś niekompetencji lub fałszywego pojmowania roli członka takiej organizacji.

Zawsze wyobrażałam sobie, że PZPR jest prawie modelem idealnym, a przynajmniej kierunki działania zbliżają ją do takiej formy w warunkach naszego ustroju politycznego. Wyobrażałam sobie, że socjalizm pojmowany jest zgodnie z jego założeniami, że członkowie Partii to ludzie zaangażowani, uczciwi, rozumiejący swoją rolę, wynikającą z przynależności organizacyjnej, odpowiedzialni, mający świadomość działania dla spraw ogólnonarodowych, społecznych, spraw ludzi, całego świata pracy.

Wstąpiłam do PZPR, bo okres posierpniowy wiele zmienił.

Dziś rozumiem, że to chyba ja sama wmówiłam sobie ten piękny obraz pracy partyjnej w Polsce. Dziś wiem, że ten obraz trzeba było odwrócić na drugą stronę i wtedy zobaczyć, jak wyglądała nasza partyjna rzeczywistość: trybuny, kwiaty, ktoś odsłania tablicę, ktoś przybył, otwiera szkołę, klaszczę, przytakuje, uśmiecha się, wzywa, w przerwie myśli o czarującym weekendzie w swojej nowej willi w Pacanowie, zwoluje, przewodniczy, zachęca, popiera, obiecuje, odwieża, wizytuje i... boi się o tę swoją ciepłą posadkę, dlatego robi tak, żeby nikomu się nie narazić, bo może ją łatwo stracić.

Tacy ludzie byli naprawdę. Działali zupełnie spokojnie w swoim środowisku, zarówno wśród partyjnych, jak i bezpartyjnych. Poprzedni sekretarz KZ-u w moim zakładzie pracy będzie jeszcze długo wspomniany: swojej rodzinie „załatwił” samochody, mieszkania, robił ludziom zwyczajne świństwa, prowadził pokątne handle i... ciągle był sekretarzem. Nie mogę zrozumieć — dlaczego? Dlaczego nikt nie powiedział: dość!? Dlaczego patrzono na to spokojnie przez wiele lat i przy okazji kolejnych wyborów dziękowano mu „za ofiarną i zaangażowanie dla dobra ludzi pracy”, powierzając ponownie to stanowisko? Takie formułki słyszałam wiele razy, a znając tego wychwalanego, zastanawiałam się, co on takiego zrobił, że trzeba mu o tym publicznie przypominać? Potem wychodziły na jaw różne niechlubne poczynania, więc... przenoszono towarzysza na inne miejsce, do innej instytucji i — broń Boże — nie mogła to być degradacja. No, jeszcze czasem udzielono mu nagany partyjnej, co w rzeczywistości i tak było bez znaczenia.

Te paradoksy utwierdziły mnie w przekonaniu, że moje wyobrażenia o funkcjonowaniu aparatu partyjnego zgodnym ze statutem są tylko młodzieńczymi marzeniami, utopią, teorią, czymś niemożliwym w świecie czarnej, prozaicznej rzeczywistości. Najbardziej bolało mnie to, że w walce o władzę ludu pracującego, o sprawiedliwość społeczną, o demokrację, o równość, o praworządność — oddało swoje

Chciałabym znaleźć w Partii miejsce dla słów, które kiedyś zatraciły swoje właściwe znaczenie.

Życie wiele tysięcy ludzi. Przecież nie za taką partię robotniczą byli katowani, prześladowani, rozstrzeliwani, w ulicznych demonstracjach. Nie za taką partię ginęli działacze „Proletariatu”, KPP, PPR-u. Nie takiej partii pragnęli uczestnicy Kongresu Zjednoczeniowego w 1948 r. Nie o takiej organizacji myślał Lenin tworząc swój model partii komunistycznej. Gdzie więc i kiedy pękło ogniwo łączące partię ze społeczeństwem? Dlaczego? Największym niebezpieczeństwem dla władzy jest, w warunkach socjalizmu lub komunizmu, oderwanie się od mas będące — zdaniem Lenina — pierwszym krokiem do osłabienia partii, a w konsekwencji: do kryzysu społeczno-politycznego. Najlepszym potwierdzeniem tej tezy był rok 1980.

Ja też czułam się oszukana, bo wierzyłam w to, co napisane lub powiedziane publicznie, skierowane m.in. i do mnie. Przyominając mi się hasła widniejące

na białym ścianie i białym płocie, te wzniosłe myśli, odczytywane z przybliżeniem oka: „Pracując dla kraju pracujemy dla siebie”, „Więcej wytworzymy, więcej podzielimy”. Nie umiałam znaleźć odpowiedzi na kilka zwykłych, prostych pytań. Nie wiedziałam, komu je zadać, więc pozostały dla mnie pytaniami: „Dlaczego nie można mówić tego, co się myśli, wskazać na błędy w postępowaniu tych, którzy podejmują decyzje i mają coś do powiedzenia? Dlaczego nie ocenia się sprawiedliwie ludzi na każdym szczeblu? Dlaczego przynależność partyjna, a nie umiejętności, predyspozycje, osobowość, przekonania, etyka, zasady życiowe, otwierają drogę do kariery i łatwego życia? Dlaczego w Partii nie stosuje się zasady selekcji, tylko przyjmuje ludzi „jak leci”? Dlaczego wygląda się po sto razy sprawozdania, żeby ukryć dno, które tu czy tam zaczyna przesytywać? Dlaczego tak lubi się pozory? Dlaczego milionom ludzi wmawia się nierealne programy, plany, sukcesy?”

Taki był rzeczywisty obraz Partii, pod którego ciężarem z mojego idealnego modelu pozostały gruzy. A jednak to mnie nie załamało. Zapatrzona w taki krajobraz socjalistycznej Polski — postanowiłam wstąpić do PZPR. Nie umiem stać z boku, gdy zachodzą wypadki dotyczące również mnie. W domu szok! Długie wywody: „Co ty robisz? Przeczekał to wszystko. Zastanów się. Do takiej Partii chcesz należeć?” Moi współpracownicy przyjęli to różnie: jedni z ironią, drudzy życzliwie. Brat uznał moje motywy za „zbyt wzniosłe”, a moją obecność w Partii — za „nie znaczący fakt”.

Ja pozostając nadal przy swoim.

Mój znajomy jest członkiem Partii od ponad 30 lat. Wiem, że w pracy cenią go za sumienność, odpowiedzialność. Działa czynnie w zakładowej organizacji PZPR. Któregoś dnia powiedział, że ma już tego „wszystkiego” dość. Wszystkiego, tzn. obojętności, cwaniactwa, udawania, spychania, wygodnictwa. Mogłabym ułożyć długą listę tych bolączek robotniczych, bo człowiek, o którym mowa, jest tokarzem. W sierpniu 1980 usłyszałam od niego jedno krótkie zdanie: „No i mam tę swoją partię”. Uważam, że nie miał powodu czuć się winny. Był po prostu zawiedziony, ale jednocześnie chyba trochę zadowolony, że nareszcie coś się zmieni.



Partia przeżywa swój wewnętrzny kryzys, ale jednak powoli odzyskuje stracone zaufanie i autorytet społeczny. Myślę, że doczekałam czasów, gdy stawia się na jakość, a nie na ilość członków. Oczywiście, w tej ogromnej liczbie ludzi są na pewno tacy, którym wszystko jedno (byle gdzieś należeć). Ale jestem przekonana, że są i tacy, którzy wstąpili do Partii z pobudek

DLACZEGO WSTĄPIŁAM DO PARTII

nie chcę czekać na cud i mówić „oni”

ideowych. Szkoda, że część z nich zwróciło swoje legitymacje. To dla PZPR strata nie do odrobienia. Dlatego ten fakt, to masowe zjawisko powinno uświadomić kierownictwu, że konieczne są zmiany i przestrzeżenie kryteriów członkostwa.

Tamte przedsierniowe pytania pozostają dla mnie bez odpowiedzi. Ale rodzą się nowe: „Do czego zobowiązuje i upoważnia przynależność do PZPR? Może właśnie teraz będę mogła dostrzec w naszej rzeczywistości, wylaniającej się z mgieł zwątpienia, obraz moich marzeń? Chcę uwierzyć, że władza w naszym kraju należy do ludzi mądrych, odpowiedzialnych, uczciwych, których praca przyniesie konkretne efekty w poprawie bytu całego narodu.

Podejmując tę decyzję kierowałam się myślą, że może ode mnie też kiedyś będzie coś zależało, że może będę mogła komuś pomóc, może mój głos kogoś przekona, iż warto jest zmieniać świat na lepsze dla innych: skrzywdzonych, oszukanych, zawiedzionych, niepewnych.

Nie wiem, jak będzie wyglądać moja działalność w przyszłości, ale chciałabym znaleźć w Partii miejsce dla słów, które kiedyś zatraciły swoje właściwe znaczenie, a których teraz tak nam potrzeba; dla „sprawiedliwości”, „prawa”, „uczciwości”, „godności ludzkiej”, „szacunku dla pracy”. Myślę, że jeżeli członkom Partii nie zabraknie cywilnej odwagi, umiejętności przekonywania,

Wierzę, że odnowa w Partii — to również krytyka i skuteczna reakcja na zło społeczne.

uzasadniania swoich racji, zbliżamy się w końcu do tego modelu partii komunistycznej, bo wiemy już, do czego prowadzi wszelkie odstępstwa, działania na własną rękę w egoistycznym, irracjonalnym kroku.

Mój znajomy, o którym na początku wspominałam, nie zwrócił swojej legitymacji. Gdy zapytałam go o to, odpowiedział: „Przeżyłem w swojej działalności wiele kryzysów. Każdy miał wytyczać nam nową drogę postępowania. Widocznie nie trafiliśmy na właściwą; ale mam nadzieję, że teraz nareszcie się uda, i może bezpartyjni uwierzą, że są ludzie, do których mogą mieć zaufanie. Dlatego zostałem”.

A ja? Nie chcę stać na bocznych torach, czekać na cud, mówić „oni”. Przecież w tym kraju jest moje miejsce. Mam wykształcenie humanistyczne. Mogę łatwiej zrozumieć, interpretować społeczne nastroje, ludzkie postawy, błędnie w poszukiwaniu sensu bytu, załamanie, niepewność, oczekiwanie. Przez swoją działalność chciałabym pomóc tym, którzy jeszcze nie mogą się odnaleźć, którym trudno żyć w świecie pełnym konfliktów różnych wartości. Chciałabym, aby prestiż organizacji, do której należę, budowany był na solidnych podstawach sprawiedliwości, etyki zawodowej, zasad moralnych, odpowiedzialności.

Chciałabym pomóc tym, którym trudno jest żyć w świecie pełnym konfliktów.

kompetencji, wiedzy o prawach rządzących życiem społecznym. Chciałabym, aby mówiono mi prawdę o rzeczywistości, w której żyję. Moim życzeniem jest też, aby wskazywano mi kierunki postępowania i sposoby realizacji godne członka Partii.

Wstąpiłam do PZPR, bo okres posierpniowy wiele zmienił. Wierzę, że zmieni jeszcze więcej, a pomniki i hołdy będą dla tych, którzy naprawdę na nie zasłużyli. Wierzę, że odnowa w Partii to również miejsce na krytykę i właściwą, skuteczną reakcję na zło społeczne.

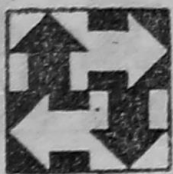
Wierzę, że Partia będzie powiększać swoje szeregi o ludzi wartościowych, wiedzionych potrzebą wspólnego działania dla nas wszystkich.

Wierzę, że w Partii są ludzie, na których można liczyć, którym można zaufać, którzy innym mogą spojrzeć prosto w oczy, bo — jak powiedział Marks — „każdy krok rzeczywistego ruchu jest ważniejszy niż tuzin programów”.

GRAŻYNA NOWACKA, lat 27
nr leg. partyjnej: 1124159

Fot. GABOR LORINCZY

postawy



SPONTAN

na przemian

GONG

NA WYNOS

TYMCZASEM

NA PRZEKÓR

7

bez szpanu

bez atutu

STARTY I FALSTARTY

sjesta w rowie

Było nas ośmioro: cztery dziewczęta i tyluż chłopców. Nasze przybycie do Kombinatoru wywołało konsternację wśród kierownictwa. Okazało się, że szkoła nie powiadomiła zakładu. Po kilkugodzinnych poszukiwaniach znalazł się jednak jakiś obskurny pokój na poddaszu dla dziewcząt i dwie „komórki” w oddzielnym baraku — dla nas. Była w nim, co prawda, łazienka, lecz nieczynna, po wodę biegaliśmy więc do, położonego kilkaset metrów dalej, biurowca. Szybko też ściśniliśmy się w jednym pokoju — nie działało ogrzewanie (brakowało węgla), a mieliśmy tylko jeden piecyk elektryczny, który pracował na „okrągło”.

Biurowiec 10-piętrowy, okazał się rozmiarów budynek. Na parterze mieszczą się biuro i sekretariat dyrektora, na pierwszym piętrze — dyrektorskie mieszczki (osiem pomieszczeń) i pokój PÓP. Drugim nowo postawionym budynkiem jest dom kultury. Kosztował trzy miliony złotych. Na dobrą sprawę jest to wielka sala z przyległymi kilkoma pokojkami. W tym roku wykorzystano je dwa razy: wyświetlono „Samych swoich” i „Pamiętnik pani Hanki”. Poza tym „wali się” w pingla albo bilard, o którego zasadach nikt nie ma zielonego pojęcia. Jest też kolorowy telewizor — nieczynny.

Kombinatem zarządza trzech dyrektorów, trzech kierowników, cała armia brygadystów i niezliczony aparat administracyjny. Chociaż ostatecznie i tu zachodzą zmiany. Wybrano — demokratycznie — nowego dyrektora naczelnego i postanowiono rozliczyć dotychczasowego. Póki co rządzą jeszcze stary, ale jest to praktycznie typowe „piastowanie” stanowiska. Dyrektor od początku roku nie pojawiał się ani razu w gospodarstwie. Siedzi u siebie w gabinecie i patrzy przez okno. Komisyjnie ściągając mu ze ścian gobeliny wartości kilkudziesięciu tysięcy złotych, które kupił sobie za pieniądze przeznaczone na remonty mieszkań dla pracowników. Ludzie dyrektora nie lubią. Pamiętają, jak wychodził na plac apelowy stawał w rozkroku i pouczał każdego, co i jak ma robić. Pamiętają też, że lubił praktykantki i zawsze wybierał sobie taką, która musiała z nim pracować w biurze. Ponoć była taka, co się nie zgodziła. Musiała za to codziennie chodzić do Kombinatoru po trzy kilometry piechotą.

Niewiele lepiej traktował stałych pracowników. Popisowym „numerem” było obcinanie stawek. Pracownik musiał wykonać tzw. normę, czyli przyciąć sto drzewek dziennie. Za każde następne drzewko otrzymywał dodatkową zapłatę; jednym słowem — akord. Jeżeli przyciął dwieście drzewek, teoretycznie powinien otrzymać podwójną zapłatę. Teoretycznie, bo dyrektor czekał, aż skończy się cięcie, i obniżył stawkę za drzewko o połowę. W ten sposób najwyczajniej okradał swoich pracowników.

Dyrektor lubił specyficzne inwestycje. „Wybudował” np. dom nad Jezioro za 7 milionów złotych. Miał to być dom wczasowy dla pracowników. Miał ale nie był. Do tego kupiono żaglówkę, którą ostatnio „ko-



SAMI SOBIE

gdyby „chcieć” znaczyło „móc”

Potrzebę zbudowania nowej remizy i świetlicy mieszkańcy Bronowa czuli od dawna. Gdy siedem lat temu Białystok szykował się do ogólnopolskich dożynek, porządki robiono również w odległej wiejskiej gminie. Gdyby tak towarzyszył Gierkowi wybrał się przez Bronowo i zobaczył tę przedwojenną remizę, wstydziłaby się cała okolica. Nikt zresztą nie miał zamiaru bronić rudery, tym bardziej że powszechnie znano już niepisany obyczaj przydzielania ekstrasfunduszy przy okazji wizyt państwowych głów. Rolnicy w dwa dni rozebrali remizę, a trzeciego zaczęli zwozić żwir na nową. „Góra” jednak postanowiła, że towarzyszy Gierkowi zatrzyma się na śniadanie w Jezewie, i pieniądze poszły na dobrze wszystkim znaną inwestycję.

Andrzej Olszewski był wtedy uczniem szkoły średniej i uważał, że w kraju względnie dobrobytu w każdej wsi powinny być świetlica, kawiarnia, sklep, ośrodek zdrowia itp. Gdy po studiach wrócił do rodzinnego Bronowa, Polska przeżywała właśnie głęboki kryzys. I wtedy, dokładnie 1 kwietnia 1981 roku, zjawił się naczelnik z — dawną wycieczką — dokumentacją na typową remizę ze świetlicą. Ale Andrzejowi wzrósł apetyt: — Dlaczego tak skromnie? Musimy budować na jutro, a nie na wczoraj. Potrzebny nam kompleks usługowo-kulturalny.

Młodzieńczy zapał spotkał się z aprobatą starszych: — Wieś liczy więcej niż dwieście chatup, drugie

tylko ludzi na koloniach mieszka, do kupy to jedna piąta całej gminy, a oprócz „przedcarskiej” szkoły nic tu nie mamy. Sklepik i poczta w odnajdanych mieszkaniach, a właściciele już myślą wymówić najem. Kiedyś był felczer, teraz została tylko położna. Doktor raz na jakiś czas zaglądnie. Doręczyciela też już nie ma. Wszystko idzie na gorzej, ale póki trochę młodych chce tu zostać, trzeba budować.

Owczesnemu — wicewojewodzie, Wacławowi Redlińskiemu, pomysł również się spodobał, poważne dyskusje nad nim odbyły się jednak do czasu przedstawienia konkretnego projektu. Sporządził go (w trzy miesiące) białostocki „Polsport”. Okazało się, o tydzień za późno: Wacław Redliński awansował do Warszawy. Trzeba było teraz przekonywać do sprawy nowego wicewojewodę oraz dyrektorów wydziałów Urzędu Wojewódzkiego i innych instytucji, które byłyby ewentualnie współgospodarzami obiektu, budynek (nowoczesny, nie typowa „stodoła”) miałby bowiem aż 1088 metrów kwadratowych powierzchni użytkowej. Na parterze mieściłby sklep, pocztę, ośrodek zdrowia, garaż dla straży pożarnej; na piętrze — część kulturalną: bibliotekę z czytelniką i świetlicę; na samej górze — cztery mieszkania dla etatowych pracowników, przede wszystkim zaś dla służby zdrowia.

— Wojewódzki Urząd Poczty zapewni, że nie będzie trudności z groszem na tak potrzebną pla-

kontrowersje

O czym jak o czym, ale o reformie gospodarczej dyskutuje się ostatnio szczególnie żywo. Ma ona swoich zwolenników, ma też i zagorzałych przeciwników. Jedni starają się bronić jej metod i efektów, inni potępiają w czambuł za stosowanie półśrodków, naskórkowość, pozorantwo. Biorą w tej dyskusji udział także młodzi, bowiem od tego, jak (i czy w ogóle) potrafi ona uzdrowić naszą gospodarkę, zależy będzie ich całe dorosłe życie. Poniższe wypowiedzi zarejestrowaliśmy w przerwie miejskich eliminacji Olimpiady Wiedzy Społeczno-Politycznej, której tematem była właśnie reforma gospodarcza.

ALFRED: — Moim zdaniem, trudno mówić o reformie. Startami zarządzeń i przepisów nie zastąpi się konkretnych działań. Przepraszam, jest jedno: windowanie cen.

MIECZYSLAW: — Z tym windowaniem cen nie jest zupełnie tak. Zapominasz o podatku dochodowym. Im wyższe ceny, tym wyższy podatek. W pewnym momencie zarabianie na cenach może już być nieopłacalne.

ALFRED: — Najgorsze jest to, że za wzrostem cen nie idzie poprawa jakości. Weźmy chociażby przykład samochodów. Kilkaset tysięcy złotych podatku wkalkulowanego w cenę, a ich jakość coraz fatalniejsza. Czy coś takiego można pogodzić z zasadami reformy?

BARBARA: — Po co tak odległe przykłady. A jaka jest jakość łomżyńskich wędlin? I dlaczego brakuje masła (głównie tańszego), chociaż magazyny trzeszczą od jego nadmiaru? Nie powiem już o jakości obsługi w sklepach, a za nią przecież też płacimy.

TOMASZ: — Rada Państwa miała w tym roku zatwierdzić coś w rodzaju „Karty mistrza”. Swojego czasu dużo mówiło się o tym, że mistrzowie za mało zarabiają, mają ograniczone możliwości podejmowania samodzielnych decyzji. Co z tego wyszło? Rozplynęło się po kościach.

MARIA: — Z mojego podwórka (WUS) widzę, że reforma nie dociera do wielu zakładów, przynajmniej pod względem sprawozdawczości. Narzekaliśmy zawsze na jej nadmiar i nierzetelność i narzekamy nadal. Wiele zakładów dalej prowadzi potrójną statystykę: dla nas, dla władz i dla siebie (żeby wiedzieć, ile czego mają naprawdę).

ALFRED: — A dlaczego tak się dzieje? Widocznie dalej pokutują elementy zaszłości.

ROMAN: — U nas reforma znaczyła się tym, że zmieniliśmy nazwę i przybyło kilku dyrektorów. Jedno „S” mamy więc od jakiegoś czasu wyłącznie w pamięci.

ZBIGNIEW: — W moim odczuciu nie doczekamy się najmniejszych pozytywnych zmian, jeżeli nie będzie się przestrzegać praw ekonomii, doceniać zasad rynku i rzetelnej konkurencji. Bez tego dalej będziemy żyć od wypłaty do wypłaty, podczas gdy inni zbijają będą na nas pieniądze.

magazyn młodzieżowy



CIĄG DALSZY NA STR. 8

CIĄG DALSZY NA STR. 8

sjesta w rowie

mus" wypożyczono. Tego „kogoś” nie można jakoś znaleźć. Kupino też dwie przyczepy kempingowe za 230 tysięcy złotych. Także miały być dla pracowników. Teraz stoją i niszczeją.

Drugi dyrektor wybudował sobie dom w pobliskiej miejscowości. Kiedyś namówił nas, abyśmy mu pomogli wnieść meble kuchenne. Taki dom widziałem pierwszy raz w życiu: cały wyłożony drewnem, i to nie było jakimś — dębowym. Wszystko jak z zachodnich reklamówek. Aż się wierzyć nie chciało, że to tylko jeden z trzech dyrektorów Kombinat.

Jest to ponoć całkiem dobry Kombinat. Przynosi zyski, tyle że o 1/3 mniejsze, niż powinien. Przyczyny tego są bardzo złożone. Na pewno winni są ludzie: i ci wielcy (jak dyrektor), i ci mali (pracownicy). Winny jest także system rozliczania, który nie sprzyja dobrej pracy. Po prostu nie opłaca się robić dużo i dobrze.

Najgorsze jest to, że nikomu na niczym nie zależy. Środki ochrony roślin lądzie się na drzewa w dawkach dwa razy za dużych, bo nikt się na tym specjalnie nie wyznaje. A wiadomo, że są to środki drogie i trudne do zdobycia. Za każdym opryskiem prawie sto tysięcy złotych wylewa się na darmo, a robi się je raz na tydzień albo i częściej. Jeszcze gorzej przedstawia się sprawa doboru środków. Ponieważ sad jest spory, opryski trwają cały dzień. W czasie kwitnienia truje się wszystko, co lata — przede wszystkim pszczoły. Tymczasem w magazynie leży „Zolone” — środek zupełnie nieszkodliwy. Podobnie postępuje się z nawozami.

Na dwieście osób zamieszkujących okolice kombinatu jest dwudziestu bezrobotnych; z własnej woli. Chłopcy młode, postawne i zdrowe — na utrzymaniu rodziców. Cały dzień siedzą grupkami w pobliskim rowie i raczą się winem. Nudzą się przy tym bardzo, ale do pracy nie pójdą. Brak motywacji.

Ostatnio kosiliśmy pokrzywy i ostry. Razem z nami pracowało kilku nowych, młodych chłopaków. Spytałem jednego, co sądzą o tych z rowu. Powiedział mi, że ma zamiar robić na słowo: „Walnę się w rowie i też będę pił piwo”. Pracowali dopiero drugi miesiąc.

Dodatkowym utrapieniem jest sprawa zaopatrzenia w artykuły spożywcze. Jedyny sklep, czynny od 8.00—15.00, z reguły handluje powietrzem. Dostawy są tylko w piątek, koło 14.00. Kolejka stoi już od rana, tuż przed 14.00 zagęszcza się. Przychodzą krewni tych, co stoją. Zaczynają się przekonywania, że mieli zajęte miejsca. W sumie chodzi o to, że sklepowa daje wszystkiego po jednej sztuce. Im więcej osób z rodziny w kolejce, tym więcej ma się zarcia. Stały zestaw produktów: dzem, szprot w tomacie, słone paluszki, proszek do prania i mydło.

Kobiety nie myślą o przyjemnościach. One robią wszystko — często bardzo ciężkie prace. Przykład? Noszą skrzynki z jabłkami i układają je na paletach. Te zaś rozwozi, oczywiście — przy pomocy wózka elektrycznego — mężczyzna w sile wieku. Nie muszą chyba opisywać, jak wygląda taka kobieta po kilku latach pracy. W każdym razie, mimo że jest jeszcze młoda, nie przypomina apetycznych dziewczątek z pierwszych stron pism. Po pracy goni do domu robić obiad, prać, sprzątać, żeby dobrze czuł się mążulek, umęczony pracą na wózku elektrycznym.

Jak mieszkają ci ludzie? Woda na podwórku, brak kanalizacji, ogrzewanie przy pomocy pieca, do którego ostatnio wrzucało się nawet kamienie...

Dłaczego to wszystko opisuję? Czy warto mówić o sprawach drobnych, choć niewątpliwie przykrych, gdy nasz kraj przeżywa jeden z najcięższych okresów? Sądzę, że warto. Bo przecież od naprawy tych właśnie podstawowych bolączek zależy to, czy kiedykolwiek będzie nam lepiej.

PRAKTYKANT

cówkę — mówi Andrzej. — GS też przyrzekł dać pieniądze na wykonanie, PZU obiecuje wygospodarować z funduszu przewencyjnego kwotę potrzebną na garaż dla straży, a od przyszłego roku, gdy zostanie zatwierdzony nowy fundusz rozwoju kultury, prawdopodobnie uszczelnienie coś dla nas z niego dyrektor Berner.

Niby wszystko zapowiada się pięknie, robota jednak nie rusza. Andrzej (można to wyczytać między wierszami) boi się, że mieszkańcy Bronowa zaczęli szemrać, wyliczać, iż za wydane pieniądze mogliby sobie zafundować prom. Być może podejrzewają już nawet, że te 200 tysięcy (za projekt, przeliczenia i wiercenia geologiczne) poszło na marne.

Sprawa na razie utknęła w Wojewódzkiej Komisji Planowania — tłumaczy. — Pan Grodzki nie był na początku zachwycony tym pomysłem. Sparzył się już na kilku takich czynowych inwestycjach, szumnie rozpoczętych, niechlubnie zakończonych. Może jednak przekonał go nasz upór i determinacja, skoro w końcu dał nam jakąś nadzieję. Powiedział, żeby przeliczyć ceny kosztorysu na aktualne. Już to zrobiliśmy, koszt inwestycji wzrósł z 11 do 18,2 miliona. Tyle że w praktyce zapłacimy znacznie mniej. Kosztorys uwzględnił bowiem nawet pastę do podłóg. Do przewodniczącego WKP wybieram się jednak w nie najlepszym nastroju. Występuje jedynie jako społeczny prezos Ochockiej Straży Pożarnej w imieniu samorządu wiejskiego. Oficjalnie nie stoi za nami żadna partia, organizacja młodzieżowa czy inna.

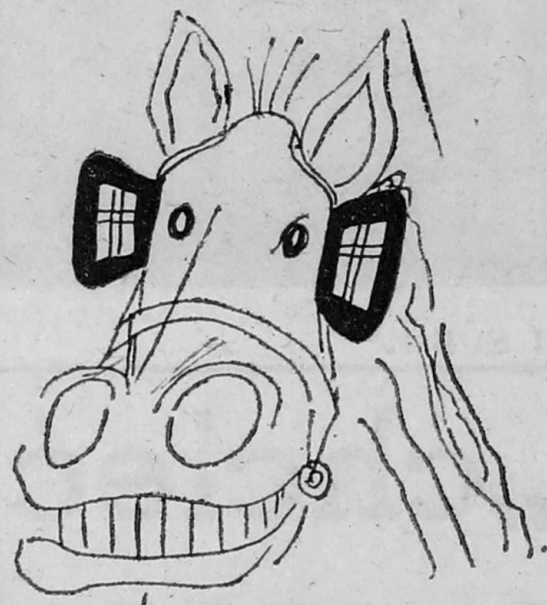
Wydawałoby się, że wystarczyłoby mocne zaangażowanie naczelnika. Andrzej zapewnia, że naczelnik Tyska bardzo popiera tę budowę. Może to i prawda, ale dlaczego cała ogromna dokumentacja — zamiast urzędowe biurka — zapelnia prywatne szafy? Nasiłwa się podejrzenie, że naczelnik chętnie przyklasuje inicjatywom, które świadczą o społecznym wyrobieniu jego ziomków, ale jednocześnie nie bardzo mu spieszą do dodatkowej harówki, skoro i bez tego kalendarz zajęć ma wypełniony.

Rozmowa z przewodniczącym Wojewódzkiej Komisji Planowania, Stanisławem Grodzkim, od której uzależniałam puentę artykułu, bynajmniej nie rozwiewa tego podejrzenia: — Ta inicjatywa ma duże szanse powodzenia, szczególnie że od tego roku można kumulować środki z różnych źródeł na jeden cel. Sądzę, że lada dzień, gdy skończą się wiosenne prace polowe, zjawi się u mnie pan Olszewski z nowymi wyliczeniami kosztorysowymi. Wtedy trzeba będzie zorganizować spotkanie wszystkich zainteresowanych i uzgodnić: kto, co, ile, kiedy. Sam, jako przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu NTOZ, postaram się zasilić ich jakąś kwotą. Ale najwyższy czas, by naczelnik przejął kierowanie tą sprawą, bo on musi być inwestorem. Jest to już poważne przedsięwzięcie, nie sprostą mu sam nawet najlepszy komitet społeczny, ba, nie ma nawet do tego prawa.

I jest to wreszcie (z trudem znalezione) uwarunkowanie optymistyczne. Na razie tylko artykułu. Może jednak dane mi będzie ujrzeć koniec budowy i pisać relację z laurobrania!?

KAROLINA

faule



Rys. Leszka Czyża

Mieszkańcy internatu przy Zespole Szkół Rolniczych w Nieckowie uważają się na wyszczuplające działanie — zbyt często jadane — zupy mleczne. Sądzimy, że byłoby jeszcze szczuplejsi bez niej.

Przedstawicielka szepietowskiego ZMW obrzuciła wyrzutami naczelnika za to, iż — zamiast młodym rolnikom — przydzielił maszyny prezosowi GS-u oraz rolnikowi bez ziemi. Nietadnie, koleżanko przedstawicielko. Janowi bez Ziemi nie poskąpiono królestwa, a wy Jaskowi ciagnika żalujecie?

Gospodarz opiekujący się biblioteką w Skrodzie Wielkiej zapalał tak wielką namiętnością do książek, że od paru lat nikomu ich nie wypożycza. Młodzi czują raczej pociąg do wypitki i wybitki niż do książki, więc gospodarz bez przeszkód zbiera węglowe deputaty i inne przywileje za uprawianie kulturalnej działalności.

Jeden z działaczy ruchu młodzieżowego po posiedzeniu Komitetu ds. Młodzieży przy Wojewodzie Łomżyńskim: „My będziemy liczyli wszy u uczniów i nawet nie obejrzymy się, jak one zjedzą również nas — z całym tym Komitetem”.

Na podstawie decyzji Sądu Koleżeńskiego Zarządu Wojewódzkiego ZMW — jeden z aktywistów tej organizacji z gminy Czyżew, został wyrzucony ze związku za to, że podczas meczu piłki nożnej kopnął w cztery litery swoją koleżankę. Dziś już trudno dociekać, czy zasła zwykła pomyłka i A. nie odróżnił piłki od... czy chodziło o coś zupełnie innego. W każdym bądź razie Sąd nie znalazł okoliczności łagodzących.

Nowo otwarte stoisko Składnicy Harcerskiej w łomżyńskim „Merkurym” oferuje m.in. spódniczki dziewczęce, wykonane z krawatów organizacyjnych ZSMP. Ich wykonawcą jest jedna z wrocławskich spółdzielni. Gratulujemy myślenia w nowym stylu gospodarczym. Ponieważ idzie lato, do kompletu proponujemy kąpielówki ze „zwisów męskich eleganckich”.

młodzi architekci

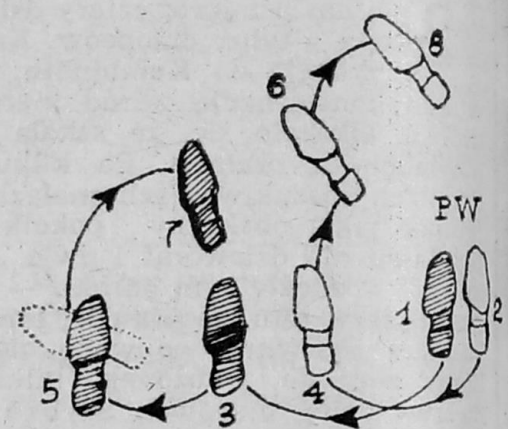
proponują



PROJEKT J. COZY

Kończymy nasz zaoczny kurs tańcem, który swojego czasu szokował gapów rewalucjonizował parkiety. Dziś już do klasyki jazzowej, stanowią jednak znakomite wprowadzenie do współczesnych szaleństw dyskotekowych. Partnerzy ustawiają się naprzeciw siebie w pozycji naturalnie wyprostowanej. Tancerz obejmuje tancerkę prawym ramieniem. Połączone ręce (lewa tancerza i prawa tancerki) trzymają nieco niżej niż we wszystkich innych tańcach.

KROKI PODSTAWOWE. Krok 1: tancerz wykonuje krok w miejscu lewą nogą; tancerka — prawą. Krok 2: tancerz robi krok w miejscu prawą nogą; tancerka — lewą. Krok 3: tancerz przesuwa lewą nogę w bok; tancerka — prawą. Krok 4: tancerz zbliża prawą nogę do lewej (do połowy odległości); tancerka zbliża lewą nogę do prawej (do połowy odległości). Krok 5: tancerz przestawia lewą nogę w bok; tancerka — prawą. Krok 6: tancerz przesuwa prawą nogę w bok; tancerka — lewą. Krok 7: tancerz zbliża lewą nogę do prawej (do połowy odległości); tancerka — lewą. Krok 8: tancerz przestawia prawą nogę w bok; tancerka — lewą. Są to bardzo małe kroki.



FALLWAY. Krok 1: tancerz obejmuje tancerkę prawym ramieniem; jego prawe biodro dotyka jej lewego biodra. Oboje robią krok do tyłu. Krok 2: tancerz przenosi ciężar ciała do przodu na prawą nogę; tancerka przenosi ciężar ciała do przodu na lewą nogę. Krok 3: tancerz zwraca się twarzą do ściany i robi lewą nogą krok w bok; tancerka — lewą nogą krok w bok. Krok 4: tancerz zbliża prawą nogę do lewej (do połowy odległości); tancerka — lewą nogą krok w bok. Krok 5: tancerz robi lewą nogą krok w bok; tancerka — lewą nogą krok w bok. Krok 6: tancerz robi prawą nogą krok w bok; tancerka — lewą nogą krok w bok. Krok 7: tancerz zbliża lewą nogę do prawej (do połowy odległości); tancerka — lewą nogą krok w bok. Krok 8: tancerz wykonuje prawą nogą krok w bok; tancerka — lewą nogą krok w bok.

OBRÓT TANCERKI POD REKA W PRAWO. Krok 1: tancerz robi krok w miejscu lewą nogą; tancerka — prawą. Krok 2: tancerz wykonuje krok w miejscu prawą nogą; tancerka — lewą. Krok 3: tancerz robi lewą nogą krok w bok; tancerka — prawą. Krok 4: tancerz zbliża prawą nogę do lewej; tancerka — lewą do prawej. Krok 5: tancerz wykonuje lewą nogą krok w bok; tancerka — prawą, twarzą do niego. Krok 6: tancerz robi lewą nogą krok w bok; tancerka — lewą, twarzą do tancerza. Krok 7: tancerz zbliża lewą nogę do prawej; tancerka — lewą do lewej. Krok 8: tancerz robi prawą nogą krok w bok; tancerka — lewą.

OBRÓT TANCERKI POD REKA W LEWO. Krok 1: tancerz robi krok w miejscu lewą nogą; tancerka — prawą. Krok 2: tancerz wykonuje krok w miejscu prawą nogą; tancerka — lewą, obracając się pod ręką w lewo, robi krok lewą nogą w przód, plecami do linii tańca. Krok 3: tancerz wykonuje lewą nogą krok w bok; tancerka, obracając się dalej w lewo, przesuwa prawą nogę w przód, twarzą do tancerza. Krok 4: tancerz zbliża prawą nogę do lewej; tancerka — lewą do prawej. Krok 5: tancerz robi lewą nogą krok w bok; tancerka — prawą. Krok 6: tancerz wykonuje prawą nogą krok w bok; tancerka — lewą. Krok 7: tancerz zbliża lewą nogę do prawej; tancerka — prawą do lewej. Krok 8: tancerz robi prawą nogą krok w bok; tancerka — lewą.

pierwszy list

najśladzszy promyczku
coraz częściej sięgam po pióro
czy aby na pewno pamiętasz
wiosenny kleks na liściu akacji
muszę ci wyznać
że atrament już wysychł
i nie ma go dosłownie nigdzie
nie ma też więcej papieru
a wkrótce może zabraknąć piór
nie smuć się jeśli już nie

napiszę
pozdrow nadchodzącą jesień

P.S. trzeba będzie ubrudzić
ręce
w cudzej sprawie

rozbity globus

pod ścianą
leżał rozbity globus
podbiegły dzieci
pozbiierały szczątki świata
i dzieci globus skleili
zapomniały ukryć
we wnętrzu globusa serce
i odtąd
serce świata błąka się
w snach

BEATA SZORC
Zambrów

„Qvo vadis?”

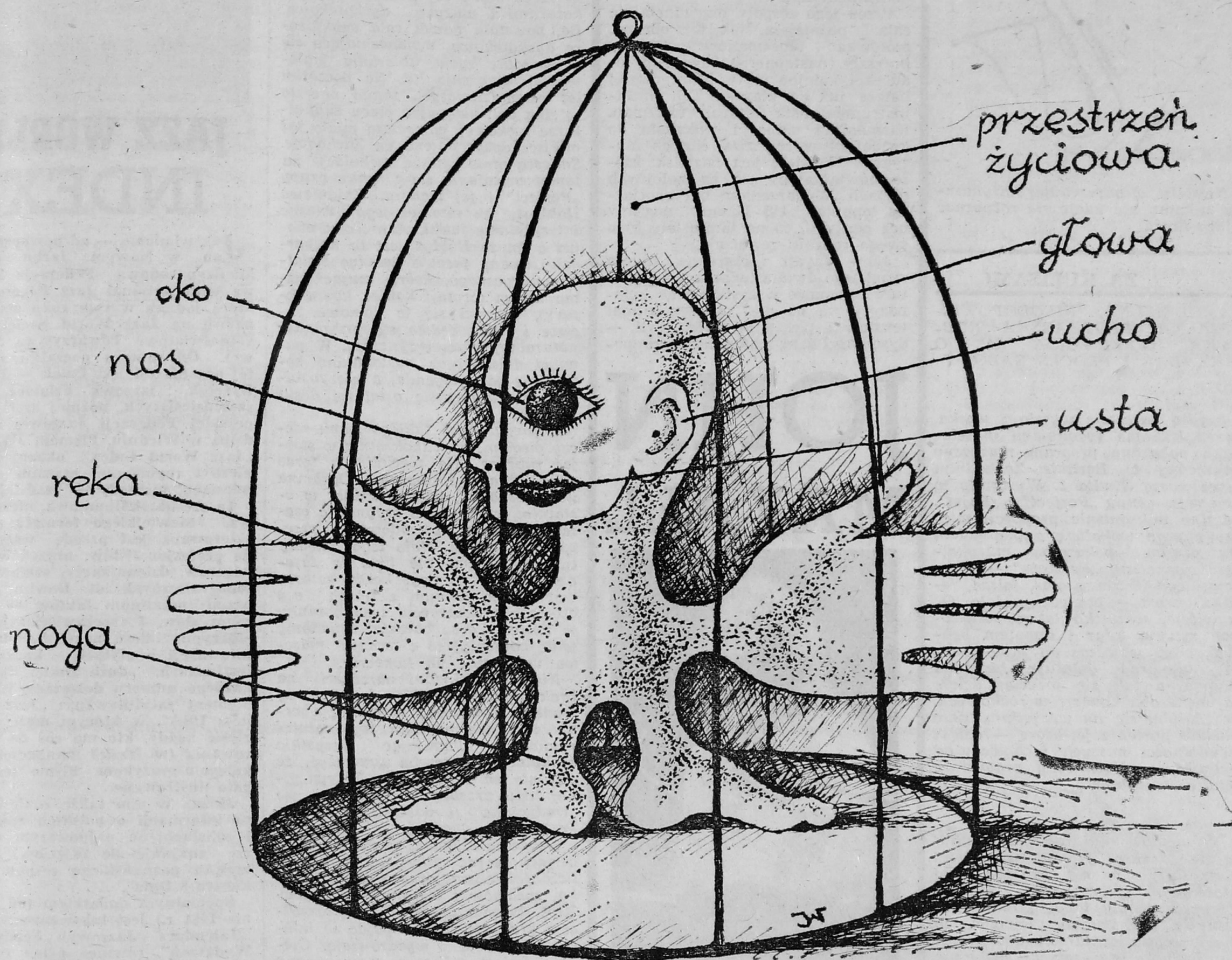
„Quo vadis, Domine” od stworzenia świata
Drogą krzyżową utajonych znaczeń?
Czego pożadasz nim obrócisz w słowo
To co powiedzieć mógłbyś inaczej?

Wątpisz i myślisz, że w wątpieniu siła,
Płodzisz lotne myśli, lecz nie zważasz na nie.
Chora wyobraźnia, która je zrodziła
Pyta cię. Dokąd idziesz, Panie?

ANDRZEJ RAMONTOWSKI
Łódź

9

KONTAKTY
22 V 1983



Rys. Janusza Wiśniewskiego

sposób na wiedzę

Pytasz czym jest poezja
Nie powiem Ci nie rozumiejąc
wyszukane zdania
otulają wszystkich wystający beton i metale
był kiedyś piasek

kopalnie i huty tworzą skorupę
nie pozwalając wykluć się
zagłuszając
gryzącego długopis
wiedzącego
że prostota słów wielkość czyni
lecz nie potrafi cofnąć świata
we właściwe rozumienie pojęć

I Ty bądź poetą
pracuj jak odkurzacz
wypluń to co pali
aż świat stanie się na wzór wyprawionej skóry

Ziemię wtulaj jak dziewczynę w kożuch
pośród chłodem i szorstkością siekącego gradu

Unikaj słów-symboli
które przez częste stosowanie
mają znamię grzechu

Kłamstwo trudniej daje się obrobić
w bukiet kwiatów
ementarnych czy weselnych
które już
nie mają odpowiedniej barwy

ŚLAWOMIR KOZŁOWSKI
Zawady

poniedziałek — posprzątaj pokój
wtorek — tylko skarpetki nie dały się odprać
środa — nie domyka się szafa
następny rok — jeszcze raz ten sam semestr
kilka lat później — coraz większy bałagan
potem —
— nie zdążyłem posprzątać w samym sobie

BOGDAN PIWŃSKI
Zambrów

pióro szuka talentu



Jeśli poznasz swego idola, napisz do 30 maja br. pod adresem „Kontaktów”. Będziesz miał szczęście — sierotka wylosuje Ci zestaw fotosów zespołów muzycznych (polskich i zagranicznych).



Niestety, w poprzedniej karykaturze nikomu nie udało się rozpoznać Ringo Stara.

ZA KULISAMI

SAMODZIELNA, NIEODOPOWIEDZIALNA, PŁOTKARSKA RUBYKA, OCIERAJĄCA SIĘ O SKANDAL I PROCES SĄDOWY

Szydło nareszcie wyszło z worka. Przed kilkoma tygodniami w telewizji pokazano program muzyczny nakręcony w Berlinie Zachodnim przez nasze Studio 2. Wystąpili w nim m.in. grupy „Perfect” i „Bajm”. Fatalne mikszowanie proporcji między głosem wokalisty a podkładem muzycznym pokazało „muzikalność” wokalisty „Perfectu” — Markowskiego. Surowy głos, fałszy, fatalna barwa — oto cechy idola. Oczywiście, wszystko łatwo zatuszować rykiem gitar i łomotem bębnow, gdyż wówczas do skołowanego odbiorcy dolatuje bezładna magma, a tak się przecież dzieje na większości koncertów rockowych. Przydałoby się im wszystkim takie właśnie prezentacje, które — dzięki nieudolności naszych fachowców od techniki — ujawniałyby prawdziwe oblicze „muzyków”.

Po wielu wyjaśnieniach okazało się, że to ekipa techniczna zespołu „Republika”, a nie grający jego członkowie, zdemolowała najbardziej luksusowy hotel „Unia” w Lublinie. Aż trudno uwierzyć, że kiedy techniczni łamali umeblowanie, ich koledzy-artyci spokojnie uskuteczniłi lulu w hotelowych łóżeczkach. Ale pal diabli. To są przecież kompleksy, bo jakże: — oni grają, są podziwianymi idolami, dziewczyny pchają się do nich na kopy, a my w cieniu. No to kompleksom trzeba dać upust. Historia muzyki rozrywkowej zna tragiczniejsze finały. Przecież nie kto inny, ale sam Brian Epstein — menager „The Beatles” — popełnił samobójstwo właśnie powodowany kompleksami wobec słynnych wychowanków.

Nieprawdą jest, jakoby znany i ceniony krytyk „Gazety Współczesnej”, Andrzej Koziała rzucił swój dotychczasowy zawód i usiadł za perkusją w lubelskiej grupie rockowej „Bajm”. Tam gra jego imiennik, zaś Andrzej nadal piórem będzie zwalczał chałturę w plastyce i teatrze, chociaż już na łamach innej — ale białostockiej — gazety. Tak więc wszelkie listy pisane do Koziały w sprawie fotosów zespołu oraz autografów pozostaną bez odpowiedzi.

Andrzej Rosiewicz nadal zajmuje się twórczością satyryczną. W czasie koncertów w Białymstoku opowiadał o facecie, który w sklepie mięsnym kupił IV gatunek psiny. W domu okazało się, iż w opakowaniu są drzazgi i gwoździe. Ekspedientka na reklamację odpowiedziała: na IV gatunek to my rąbiemy psa razem z budą.

Powszechnie uznawany jest za ojca i króla białego bluesa. To dzięki niemu murzyńska muzyka ludowa zaczęła znajdować coraz więcej wyznawców wśród białych muzyków i słuchaczy. Urodził się w Wielkiej Brytanii w 1933 r. Mając zaledwie 13 lat założył pierwszy zespół — „Powerhouse Four”. W 1963 r. zaangażował go w Londynie inny muzyk — legenda białego bluesa, Alexis Corner. Odtąd wszystko potoczyło się w błyskawicznym tempie. Nagrany dla firmy Decca album „John Mayall Plays John Mayall” zdobył sobie powszechnie uznanie. W dwa lata później do swojej grupy — „Bluesbreakers” — zaangażował swoje największe chyba odkrycie, Erica Claptona. Mayall zresztą zawsze miał tzw. łapę do utalentowanych instrumentalistów.

Przez jego zespoły przewinęła się cała późniejsza, jak też obecna, czołówka bluesmanów. Później przyszły, następne składy grup lidera i kolejne płyty, które dzisiaj należą już do klasyki. Ten multiinstrumentalista (gitarę, fortepian, harmonijkę ustną) i wokalista do każdej płyty zapraszał innych muzyków. Niewiele jest nazwisk, które powtarzałyby się na kolejnych płytach. Wydarzeniem był chociażby longplay „US Union” nagrany bez perkusji, co na tamte lata było swego rodzaju rewelacją.

John Mayall z czarnego bluesa wziął jego dwunastokartkową strukturę (niemalże wszystkie jego kompozycje są na niej oparte), klimat tekstów i tzw. blue note, czyli — dysonans; sam natomiast zaproponował wirtuozerię instrumentalną, perfekcję pod każdym względem i — odmienną od murzyńskiej — problematykę tekstów własnoręcznie często pisanych. Na bluesach Mayalla wychowało się całe pokolenie białych muzyków, którzy pragnęli uprawiać ów gatunek.

JOHN MAYALL



Przed kilkoma laty John Mayall nagle zmienił emploi i zaczął nagrywać płyty z muzyką dyskotekową (np. „Bottom Line”). Z takim też reertuarem odwiedził Polskę. Jego wielbiciele byli srodze zawiedzeni: zamiast subtelnych bluesów — ze sceny wiało prymitywnym rytmem; w miejsca rewelacyjnych partii solowych otrzymano łomot instrumentów elektronicznych; sam leader grał na fortepianie elektrycznym Fendera. Mayall wyjaśnił wprawdzie, że nie może przez całe życie grać tej samej muzyki, ale wtajemniczeni twierdzili, iż chodzi tu o koniunkturę, a więc i o duże zarobki. Jedno wszak trzeba powiedzieć: nawet ta muzyka w wydaniu ojca białego bluesa nosiła wszelkie znamiona absolutnego profesjonalizmu. „Król” zresztą zapewnił sobie towarzystwo doskonałych instrumentalistów.

Mayall, chociaż ostatnio nagrywa bardzo mało, nadal obraca się w kręgu muzyki rozrywkowej. Czy wróci do bluesa, który zapewnił mu stałe, poczesne miejsce w historii muzyki — nie wiadomo? Trzeba czekać na kolejne albumy mistrza.

Fot. Archiwum

NA PIĘCIOLINII

czy koniec szalu?

Wyjątkowo korzystam dzisiaj z gościnnych łamów kolumny młodzieżowej, bowiem temat, na który chciałem zabrać głos, pasuje tu bardziej niż gdziekolwiek indziej. Otóż gdyby rok temu powiedział ktoś młodemu człowiekowi, że szaleństwa na koncertach grup rockowych szybko się skończą i naprawdę nie warto swego życia utożsamiać z rockiem, zapewne dostałby w głowę, czego zresztą delikatniejszym przejawem były listy pisane do redakcji pism mających odwagę zaatakować ten rodzaj muzyki i jego wyznawców.

Nie ma w tym zresztą nic dziwnego, ponieważ — jak pamiętamy — rzecz miała się podobnie z dyskotekami i muzyką dyskotekową. Ba, powstała nawet cała subkultura dyskotekowa, uwidaczniająca się w sposobie bycia, ubierania, malowania, strzyżenia itd. Na początku lat osiemdziesiątych — tamto odeszło w siną dal, ustępując placu subkulturze rockowej, co zresztą miało już miejsce dosyć dawno na Zachodzie. Śmiesz mnie zawsze spekulacje na temat wycofania się z rynku grupy „Perfect” i jej lidera, Zbigniewa Hołdysa, jak również jego własne interpretacje faktu. A przecież chodzi o to, że Hołdys jest to najbardziej cwany facet z naszego świata muzyki, który czując pistmo nosem (czytaj: koniec koniunktury), wycofał się w domowe zacisze i teraz będzie się przyglądał naturalnej śmierci zjawiska. W pamięci dzisiejszych nastolatków pozostanie jako legenda, a nie rozbiitek chwytający się ostatniej deski ratunku.

O przyczynach takiego stanu rzeczy pisałem już kilkakrotnie w swojej rubryce „Na pięciolinii”; teraz słów kilka o objawach. Ogromna ilość zespołów, jaka powstała w ostatnim czasie, i ich ordynarna czasami inwazja, spowodowały presję i zmęczenie. Mało tego: między tymi zespołami nie było w zasadzie żadnej różnicy; każdy wzorował się na jednym z trzech czy czterech prekursorów tego gatunku w Polsce. Coraz bardziej świadomy widz zauważał to i przestał masowo uczęszczać na koncerty.

Niegdyś rockmani narzekali na brak zainteresowania ze strony środków masowego przekazu; obecnie zabił ich nadmiar tego zainteresowania. Pomijając wszystkie spekulacje — trzeba zauważyć, że ostatnio na I miejscu „Telewizyjnej listy przebojów” pojawiła się „tradycyjna” (i doskonała) piosenka-Krystyny Prońko.

Znużenie widzów widać na koncertach; coraz mniej na nich publiczności, ekstatycznego tańca, ryku, spazmów i łowców autografów. Ktoś słusznie zauważył, że gitarzyści z grup rockowych pójdą w końcu do wojska i wyzdrowieją. Ciekaw jestem tylko, co zrobi grupa dziennikarzy, menagerów, redaktorów telewizyjnych — a więc cała otoczka profesjonalna — która swego myślenie przestawiła na torę muzyki rockowej?

JAN JANUSZEK

JAZZ

genialny kwartet

W muzyce jazzowej dawno już minęła epoka zespołów, które istniały po kilka bądź kilkanaście lat. Przeciętny słuchacz z łatwością wymieni nazwy „Modern Jazz Quartet”, „Kid Ory Orchestra”, „Hot Five”, ale z pewnością miałby trudności z podaniem nazwisk muzyków w nich grających. Współczesny jazz bowiem to przede wszystkim nazwiska solistów, którzy za każdym razem — gdy dochodzi do nagrania płyty lub koncertu — występują w innym towarzystwie.

I oto rok temu w Stanach Zjednoczonych powstał kwartet składający się z gwiazd jazzu (Murzynów) pod nazwą „Sphere” (czyt. sfijer). Słowo to oznacza sferę, kulę, kulę ziemską, ale także przydomek wiel-

PRZEDSTAWIAMY PISMA MUZYCZNE

JAZZ WORLD INDEX



JAZZ WORLD INDEX

Jak wiadomo — od pewnego czasu w Nowym Jorku działa Międzynarodowa Federacja Jazzowa (International Jazz Federation), która jednak w tym roku zmieniła nazwę na Jazz World Society (Ogólnosiwiatowe Towarzystwo Jazzowe). Od samego początku szefem tej organizacji jest Polak — Jan A. Byreczek, jazzowy działacz z lat sześćdziesiątych, później szef Europejskiej Federacji Jazzowej z siedzibą w Wiedniu. Pismem JWS jest „Jazz World Index”, ukazujący się niezbyt regularnie: czasami raz w miesiącu, niekiedy — rzadziej.

Ta szesnastokolumnowa, niekolorewa, niewielkiego formatu gazeta skierowana jest przede wszystkim do profesjonalistów: muzyków, menagerów, dziennikarzy, szefów firm fonograficznych itd. Dewiza „JWI” brzmi: maximum faktów — minimum słów. I rzeczywiście: jest tu olbrzymia ilość nazwisk, adresów, informacji o płytach, koncertach, festiwalach, dużo ankiet itp. Do każdego numeru dołączany jest suplement zatytułowany: „Jazz Business USA”, w którym może się ogłosić każdy, kto ma coś do zaferowania (w jazzie) managerom czy kolegom-muzykom. Pismo jest bogato ilustrowane.

Można w nim także znaleźć sporo informacji o polskich zespołach i solistach; w najnowszym numerze znajduje się zdjęciowa reklamówka poznańskiego zespołu „Orkiestra 8 Dnia”.

Specjalnym dodatkiem (od stycznia 1981 r.) jest luksusowo wydany „Kalendarz Jazzowych Festiwali i Wydarzeń”, również pełen reklam, ale przyozdobiony dziesiątkami doskonałych zdjęć. Niestety, pismo, którego siedziba mieści się w Nowym Jorku, można zaprenumerować tylko na terenie USA. Ale miłośnicy jazzu w Polsce powinni wiedzieć o jego istnieniu.

kiego kompozytora i pianisty — Theloniousa Monka. Kwartet ów wykonuje właśnie jego muzykę. Na pierwszą sesję umówili się 17 lutego 1982 r., aby nagrać trzy tematy Monka; trzy następne przełożyli na dzień następny. Pech chciał, że po dwóch godzinach od chwili rozpoczęcia sesji muzycy otrzymali telefon, że zmarł przed chwilą Thelonious Monk (w wieku 64 lat).

Efektom dwudniowej sesji kwartetu „Sphere” jest płyta wydana przez najnowszą amerykańską wytwórnię „Elektra-Musician”, a zatytułowana — od jednego z tematów Monka — „Four In One”. Grupa tworzą: Charlie Rouse (saksofon tenorowy), Kenny Baron (fortepian), Buster Williams (kontrabas) i Ben Riley (perkuszja). Miłośnikom jazzu nie trzeba chyba objaśniać, kim są — zwłaszcza dwaj pierwsi — i co znaczą dla światowego jazzu. Jazz kwartetu „Sphere” jest bardzo komunikatywny, ale oparty na nowoczesnych harmoniach. I jest w nim to, co przede wszystkim odróżnia muzykę czarnych jazzmanów od białych: rewelacyjne partie solowe.

Magazyn młodzieżowy redagują
DANUTA i ALEKSANDER WRONISZEWSKY

redaguje Jacek Grün

fan-klub



Każdy przyzna, że świat ma my mało urozmaicony: gdzie krasnoludki, wilkołaki, smoki, zwierzęta mówiące ludzkim językiem? Co prawda w Polsce zawsze z tym było nie najlepiej — ani porównania do Anglii, gdzie nawet dzisiaj co dziesiąty człowiek (według ankiety) widział ducha; co zresztą spowodowało, że Anglicy składają się najbardziej trzeźwym narodem świata. Trudno; kto nie ma wyobraźni, niczego nie dokona. „Realizm”, zwłaszcza w swoich grzeźbnych formach, to najprostsza droga do łapci na nogi i lebiody na obiad. W każdym razie jeśli nawet co było, całkowicie przepadło. Jak notuje Baranowski — ostatniego smoka widziano koło Pułtusk w roku 1938.

Zaciekawiło mnie, dlaczego właściwie koło Pułtusk? Polskie wspomnienia o smokach dotyczą raczej pogórza. Skądinąd wiemy, że smoki trzymały się raczej pustkowi. Mapa wyraża się o tej sprawie niejasno. Były tu wprawdzie wielkie

puszcze — Biała, Zielona — ale zostały ubogie szczątki. Może więc smok pojawił się z przeszłości? Też taka jest dopuszczalna, gdyż nie znamy dobrze czasoprzestrzeni smoczej.

Jest wszakże inna możliwość — smoki były zawsze najściślej związane z wodą, a właśnie tu byłyby dla nich warunki przychylne: Bug, Narew, Biebrza, Bagna. Smoka widziano w powietrzu — możliwe, że leciał nad korytem Narwi. Gdzieś jednak jego jama, gdzie by przechowywał skarby i sprowadzał dziewczęta? Ani chyba tylko gdzieś w okalających Łomę fortach. Można by spróbować zbadać, gdyby się miało przynętę — skarby albo dziewczęta. Ech, nie wiadomo, o co trudniej.

Coś się wprawdzie od czasu do czasu pojawia — naturalnie, UFO. Nie ja, ale Wanda Konarska dawno już zauważyła, że jest to zjawisko tego samego rzędu — nie-

potrzebnie tylko przypłatała helleńskich bogów. Proszę jednak zauważyć, że UFO — w porównaniu ze smokiem — jest konstrukcją ubogą. UFO to jakaś tarcza, kula czy elipsa, i wszystko. A smok! Eby (do dziesięciu), skrzydła nietoperza, ogon węża, rogi kozy, łuska, ogień i dym (no, to u Ufo bywa), słowem: całe bogactwo. Trochę tak właśnie, jakbyśmy porównywali dawny pałac czy katedrę i współczesne osiedle pseudomieszkańców. Jedyny racjonalny wniosek brzmi, że smok się dopasował i sfunkcjonalizował, zdobywając tym samym szybkość potrzebną do wyprzedzania samolotów.

No, dobrze, smok. Ale co z całą resztą? Ja mieszkam w sercu Warszawy na dwudziestym piętrze i trudno sobie wyobrazić tak zbliżowanego krasnoludka czy skrzata, który by chciał w takiej klatce zamieszkać. A w normalnych domach? Henryk Gała ma ponoć niedługo

dom skończyć i może by mi powiedział, ale przecież zanim skończy, więc i tak nie powie. Jednak tu i ówdzie normalne domy bywają? Toteż zwracam się z apelem do Państwa: jeśli ktoś przypadkiem coś zauważy, proszę o sygnał do redakcji.

Ale uwaga: formy baśniowe nie lubią mieszkań z telewizorem. On właśnie je wyparł i zastąpił — choć najczęściej jako gnom złośliwy i głupi. Jakaż ciepła, przychylna ludzkiemu sercu baśń może się zadomowić w miejscu, które codziennie nawiedzają jak nie pani Falska, to pan Racławicki?

Możliwe zresztą, że dawne naturalne, a dziś niewidziane zjawiska przemieniły się jeszcze inaczej. Kim był przedtem, na przykład, złowrogi Windas — demon zepsutych i psujących się „dzwigów osobowych”? Otwiera się przed nami rozległa dziedzina badań, którą uważam za najpoważniejsze zadanie obecnej chwili. Zapraszamy Państwa do współpracy.

PIOTR KUNCEWICZ

GOSPODARKA OD KUCHNI

Pierwsze pytanie byłoby skromne, powiedzmy — za 100 złotych. Co to jest: mówić się o nim bardzo źle, a każdy dałby wiele, by mieć go w zasięgu ręki? Oczywiście, nawis inflacyjny. Stał on się zmorem naszego życia od dobrych kilku lat. Wini się go za codzienne kłopoty zaopatrzeniowe, kartki, handel spod lady itd. Jednak gdyby mieć cząstkę tego nawisu na własny użytek, życie byłoby na pewno łatwiejsze.

Pytanie drugie jest o wiele bardziej skomplikowane, kto w rzeczywistości posiada ten nawis? Wśród znawców problemu zdania są podzielone; jedni uważają, że jest rzecz prawie niemożliwa dokładne jego umiejscowienie, bo wymagałoby to zbadania sytuacji majątkowej niemal każdej konkretnej rodziny. Statystyki milionerów u nas się nie prowadzi. Z badań NBP wynika co prawda, że w miastach jedna książeczka oszczędnościowa na 100 000 jest milionowa, niektórzy jednak

wolą przecież trzymać pieniądze w innych walorach. Są także i tacy specjaliści, którzy dokonali pewnych szacunków. Wynika z nich, że ok. 10 proc. społeczeństwa ma znaczny

piliby je, czy też nie? Na pewno tak, gdyż butów jest mało, pieniędzy więcej, a każdy musi w czymś chodzić. Gdyby jednak istniał u nas rzeczywisty rynek, buty o za-

biliona złotych, gdyż na tyle — mniej więcej — określa się wysokość nawisu.

Chciałbym zaproponować rozwiązanie tej sprawy: otóż należy się w ogóle nie martwić, choć mają tam „leżących” pieniędzy znacznie więcej, tyle że nazywa się je „oszczędnościami”. Relacja oszczędności do ogólnych dochodów jest w Polsce, w porównaniu np. z NRD czy Czechosłowacją, niewielka. Oszczędza się u nas za mało, i trudno się temu dziwić. W warunkach wysokiej inflacji i mizeroty rynkowej nie ma do tego bodźców. Oplaca się raczej pożyczać i natychmiast wydawać to, co zarobimy. Tak więc zasadniczym problemem nie jest zlikwidowanie czy zagospodarowanie tych 500 miliardów; chodzi przede wszystkim o dwie rzeczy: niedopuszczenie do dalszego wzrostu ilości pieniędzy bez pokrycia na rynku i stworzenia warunków zachęcających społeczeństwo do dobrowolnych oszczędności. Jak tego dokonać? A to już zupełnie inna sprawa. MAREK ROSIŃSKI

pytanie za pół biliona

majątek, z drugiej zaś strony — około 10 proc. żyje bardzo biednie.

Czy to oznacza, że cały program „neutralizowania” nawisu powinien być jedynie nakierowany na te 10 proc. „posiadających”? Sprawa nie jest taka prosta. Postaram się wyjaśnić na pewnym przykładzie. W 1982 r. Inspekcja Cen zakwestionowała prawidłowość kalkulacji cen w przypadku ponad 4000 towarów. W konsekwencji obniżono m.in. ceny detaliczne niektórych zabawek o 10–20 proc., obuwi o 15–30 proc., wyrobów dziewiarskich o 15–20 proc., artykułów gospodarstwa domowego o 5–25 proc. Gdyby Inspekcja nie dokonała obniżki ceny np. obuwi, czy ludzie zaku-

wyżonych cenach mogłyby nie znaleźć nabywców, jak to bywa na ogół gdzie indziej, i nierzetelny producent musiałby cenę obniżyć albo splajtować.

W tym właśnie sensie nawis inflacyjny znajduje się w naszych rękach, choć zdecydowana część społeczeństwa z trudem przecieży równowagę swój miesięczny budżet. Gdyby udało się zlikwidować nawis, sytuacja kupujących stałaby się o wiele korzystniejsza. Wtedy producent musiałby wreszcie zacząć zabiegać o względy nabywców swoich produktów.

Tylko jak to zrobić? Odpowiedź na to pytanie jest chyba najważniejsza i najdroższa: za całe pół

— Co ja im zrobiłem?... Czy to zemsta? Za co... myślał poruszony.
— Agitatorstwo... bunt... Więc fala przyszła i tu?
Uśmiech ironiczny błąkał się na jego ustach, przemknął po wydatnych rysach i zawieja sarkazmu omgłił szare źrenice.
— Bydło! — wyrzuciły skrzywione wargi. — A przecież mają naukę; dają im ją — myślał z gorczyzą.
— Owczy pęd! I jeszcze słabe mózgi!
Już był podniecony ideą ocaleni zbłąkanych tłumów.
Ostrogami trącił Apolla, ruszył obcesem w huczącą masę ludu, w burzę ognia i dymów.
Lecz powstrzymał go olbrzymi Jur, chwytając konia za uźdę.
— Jaśnie panie!... tam nie można... tam grozą... przeklinają.
Ordynat parł naprzód.
— Kogo przeklinają? Mnie?
— Jaśnie pana... to podleczy!
— No, dobrze. Mówiłem ci: ratować mieszkania! Ruszaj do pożaru!
— Jaśnie panie...
— Ruszaj!...
Głos ordynata zasyczał, Jur znikł w tłumie.
— Zabawna historia! — myślał Michorowski. — Tego jeszcze nie widziałem. Ciekawym!

III

Jur, ukryty przed wzrokiem ordynata, czuwał jednak, z dłonią nieznacznie umieszczoną na kolbie rewolweru. Słyszał gorące mowy agitatorów, którzy wygrażali na panów i milionerów; widział wzburzony tłum, zaciśnięte pięści i bał się o ukochanego pana.

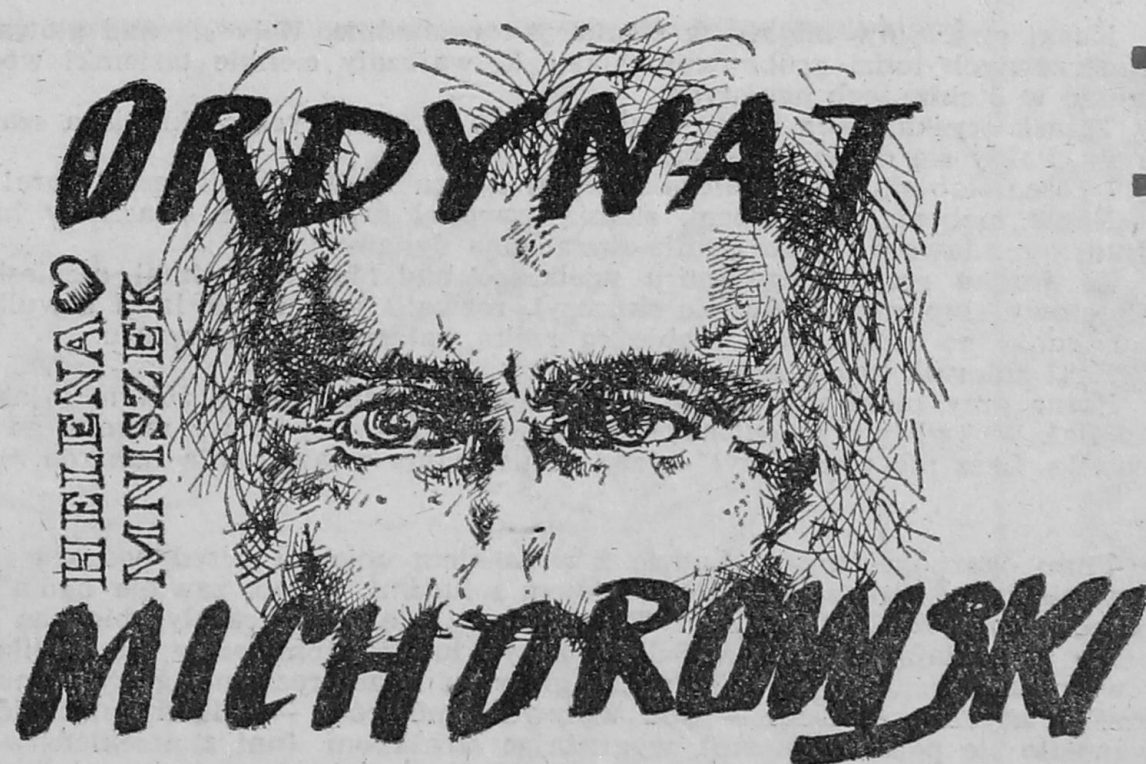
Bali się również naczelnicy straży ogniowej i cała inteligencja administracji, zgromadzona przy ratunku.

Najspokojniejszym był ordynat. Na swym groźnym wierzchołku jechał poważny, dumny, rozsuwając piersią końską zbite gromadki robotników i służby folwarcznej. Spotykany strażakom dawał krótkie, donośne rozkazy i wolno mijał tłumy nie zwracając na nie najmniejszej uwagi. Całą akcję ratunkową skierował na domy zamieszkałe; od fabryk odstąpił wszystkim.

A ludzie oniemieli na jego widok. Spokój i powaga ordynata wywołały podziw ogólny. Zaczęto ustępować mu z drogi z pośpiechem. Tu i tam jakaś ręka, rozwijając zaciśniętą pięść, nieśmiało zdejmowała czapkę z głowy. I ukłonów takich było coraz więcej. Przekleństwa cichły, w oczach gasły żary wściekłości. Tłum zakolysał się wydając już z siebie zaledwie głuchy pomruk zdziwienia.

Niespodziewano się tu ordynata.

Na widok jego wyniosłej postaci na koniu, jego twarzy jak z lodu wykutej, bez cienia lęku w oczach, przeciwnie, z szyderstwem widocznym nawet dla ogółu, agitatorowi zamilkli. Jakiś majestat ich zagłuszył. Setki oczu wpilo się w jadącego pana ze strachem, z nagle obudzoną pokorą. Wydał im się karcącym duchem, który ich zgniecie do ziemi. Widny dla tłumów, górował nad nimi, oświecony pożogą, pewny siebie, drwący. Nawet trochę zawiedziony zachowaniem się wyjących przed chwilą groźnych mas. (Cdn.)



Płomień rósł, potężniał. Jaskrawe języki, wymykając się zdradziecko z szarych mas budowli, strzelały w górę śmiałym pędem. Jak zmije kureczka i prostują swe śliskie cielska do skoku, tak rozżarte bicz ognia, skotłowane w kłębek, rozwijały się gwałtownie i parły z wściekłą zajądlnością coraz wyżej do szczytów.

Wark i świst złowrogi brała w siebie noc marcową; szare masy fabryczne, spiętrzone kominy — rysowały się nagle w czarnych przestworzach. Teraz otaczał je u dołu krwawy wieniec, strasy z krzewów koralu, ale ruchomy, szarpnięcie się w żądy niszczenia. Straszliwe zygzyki pelży węzowym skrzętem, przeżyły się, buchając grzywną purpury i złota. I rosły jak tytany, i szalonym tańcem rozchichotanych demonów gonili za sobą, łącząc w piekielnych uściskach rozwiernione, żarłoczne cielska.

Już nie krzewy koralu, lecz rozpasane fontanny ognia otaczały budowle. Zapaliło się niebo, różowe płachty na chmurach wchłaniały czerwień. Pożoga nabrała rozpędu, waliła w cześć nocy hukiem, przerażającym gwizdem ognistych batów; niosła w czerwone obłoki olbrzymie dymy. Rozjaśniła się okolica, morelowy odblask lunął na śniegi. Pożar sypał potokami iskier. Deszcze z gwiazd purpurowych i złotych, ciskanych z żywiołową furją zarażał inne dachy, opalał drzewa. Wulkan wybuchał za wulkanem. Kilka ich ziało potężnie, rozlewając się w beznieśny ocean fal.

Sadza dymów rosła w bór, zbity, huczący, ziemnia wydała głuchy jęk, szedł po niej grzmot, niby dreszcz przerażenia.

Żywioł szalał. Ostre gwizdanki sygnałów umilkły, mrowisko ludzkie cofnęło się w popłochu. Wielki dzwon alarmowy wydawał krótki urywany krzyk.

Gorel Gorel.





Dwanaścioro było ich u rodzi-
ców, dwanaścioro wzięcia
znających wartość obcowania
z literaturą. Annę na stałe życie
skojarzyło z książkami, i choć róż-
nie bywa z takimi mariażami, ten
okazał się udany.

„Biblioteka Gromadzka rozpoczę-
ła swą działalność w 1949 r. [...] pierwszym kierownikiem był Józef
Burzymowski, który pracował na
półetacie do 1 VII 1952 r., a potem
jako nauczyciel został przeniesiony
na inną placówkę. Pracę biblioteczną
przekazał Szymczak Annie. W
tym czasie biblioteka liczyła około
2 tysięcy woluminów i 300 czytelników”.

W latach wojny starszy brat An-
ny, już wówczas absolwent Akade-
mii Sztuk Pięknych, ukrywał się,
rodzinny dom w Wiźnie żandarmi
nawiedzali więc nad wyraz często.

czat, rozebrano do naga, gdy na-
deszła decyzja, by młodych posłać
na roboty w głąb Rzeszy.

Po tygodniowej podróży Anna
trafiła do wsi Neuwarbuchen, poło-
żonej aż pod holenderską granicą.
Bauerka, gdy zobaczyła ją po raz
pierwszy, rzekła do córki: — „Kogo
ty przywiozłaś? Toż to dziecko! Ona
powinna do szkoły chodzić.”

Bauer gospodarował na 120 hek-
tarach, więc pracy nie brakowało.
Od świtu do zmierzchu robiła w
polu, rano i wieczorem — przy ob-
rządku krów. Blizny na dłoniach
do dziś każą pamiętać, ile razy pe-
kała na nich skóra.

„Przyjeżdżacie tu dobrowolnie,
więc dlaczego płaczecie i płaczecie”
— dziwiła się bauerka.

Anna pokazała jej wezwanie. Po
przeżyciu Niemka popadła w
długą zadumę.

„Od 1952 r. bibliotekarka prowa-
dziła społecznie świetlicę. Pierwszą

pamięta. Wreszcie Polska. Wraz z
mężem — posłubiła go w Niem-
czech — wyładowała w Szczecinie.
Osiedlili się w Poznaniu — ro-
dzinnych stronach męża. Chociaż
tam urodziła czworo dzieci, ale czu-
ła się jak na obczyźnie. Myślała
i śniła o Wiźnie, tęskniła do swoich.

„Za zarobione pieniądze z wystę-
pów w r. 1963 zespół artystyczny
jeździł w roku 1963 do Czechosło-
wacji. Po drodze zwiedził Kraków,
Wieliczkę, Nową Hutę i Oświęcim”.

W roku 1951 przywiozła rodzinę
do Wizny. Była szczęśliwa: zastała
żyjących rodziców, czuła się u sie-
bie. W następnym roku podjęła
pracę bibliotekarki.

Mąż ginie tragicznie i pozostawia
ją z czwórką dzieci oraz sześćset-
złotową miesięczną pensją, z której
dwieście trzeba płacić kobiecie o-
piekującej się dziećmi.

łostocką Rozgłośnię Polskiego Ra-
dia”.

Sama też często służyła za prze-
wodnika po Wiźnie, wygłaszała pre-
lekcje o jej historii. W kronice bi-
blioteki odnotowała wydarzenia
z życia swojej Wizny, zbierała wy-
cinki prasowe na jej temat i orga-
nizowała spotkania z obywatelami
Wizny w rocznicę jej wyzwolenia.

„Martwi już nie mówią, ale ży-
wi mogą. Dumni jesteśmy z boha-
terstwa żołnierzy polskich. Niech
żyją w naszej pamięci. W 35 rocz-
nicę boju pod Wizną — budownic-
czy schronu kpt. Raginis — Michał
Szymonowicz. 8.09.74 r.”

Zimą uczyła kobiety szycia (aby
mogły podjąć pracę chałupniczą),
gotowania i racjonalnego żywienia.
Nazwisko Anny Troksovej raz po
raz zaczęło pojawiać się w prasie,
która donosiła o jej ciekawych ini-
cjatywach, osiągnięciach, jubileuszu
dwudziestolecia pracy. W roku 1979
przeszła na emeryturę i przeniosła
się z rodziną do Łomży.

„I tak minęło 30 lat z najlepszy-
mi przyjaciółmi — książkami, z
ciekawymi ludźmi i ciekawymi
sprawami. W moim i biblioteki ży-
ciu nie było miejsca na nudę i pe-
symizm”.

Ale przecież nie da się człowieka
wyrwać nagle z wartkiego nurtu
społecznego życia. Rodzina — rodzi-
na, a tyle jest jeszcze dookoła do
zrobienia! Natychmiast znalazła
swoje miejsce w Towarzystwie
Przyjaciół Dzieci, a ostatnio... znów
stała za biblioteczną ladą; zastę-
puje — korzystając z urlopu ma-
cierzyńskiego — córkę, która pro-
wadzi Filię nr 4 Wojewódzkiej
Biblioteki Publicznej.

— To zastępstwo jest dla mnie
nagrodą! — mówi Anna Troksova.
— Znowu czuję, że żyję, i to wśród
najwspanialszych przyjaciół.

WIESŁAWA CZARTORYSKA

na g r o d a

Anna pamięta ucieczki frontowym
wejściem, gdy zachodzili od podwó-
rza, i kuchennym, gdy wpadali od
ulicy. Wreszcie nadeszło wezwanie
dla siostry Anny: jeżeli nie wyje-
dzie do Prus Wschodnich na sze-
ściotygodniowe roboty przy zbiorze
ziemiaków, cała rodzina powędru-
je do lagru w Zambrowie.

Rodzinną naradę przyniosła An-
nie okrutny wyrok: była niska,
drobna, w porównaniu z piękną
siostrą — „brzydkim kaczątkiem”
— co jej mogą zrobić? Zobaczyć, że
taka mizerna, i odesłać do domu. A
poza tym siostra nigdy nie zasnęła
pracy fizycznej; jakże sobie mogła
poradzić wśród obcych, wrogich
ludzi? Osiemnastoletnia wówczas
Anna zgodziła się ją wyręczyć. Tak
zaczęła się jej wojenna tułaczka.

Cudem uniknęła śmierci. Pociąg
do Prus okazał się transportem do
Oświęcimia. Stała już na rampie,
jak pozostałe dwa tysiące dziew-

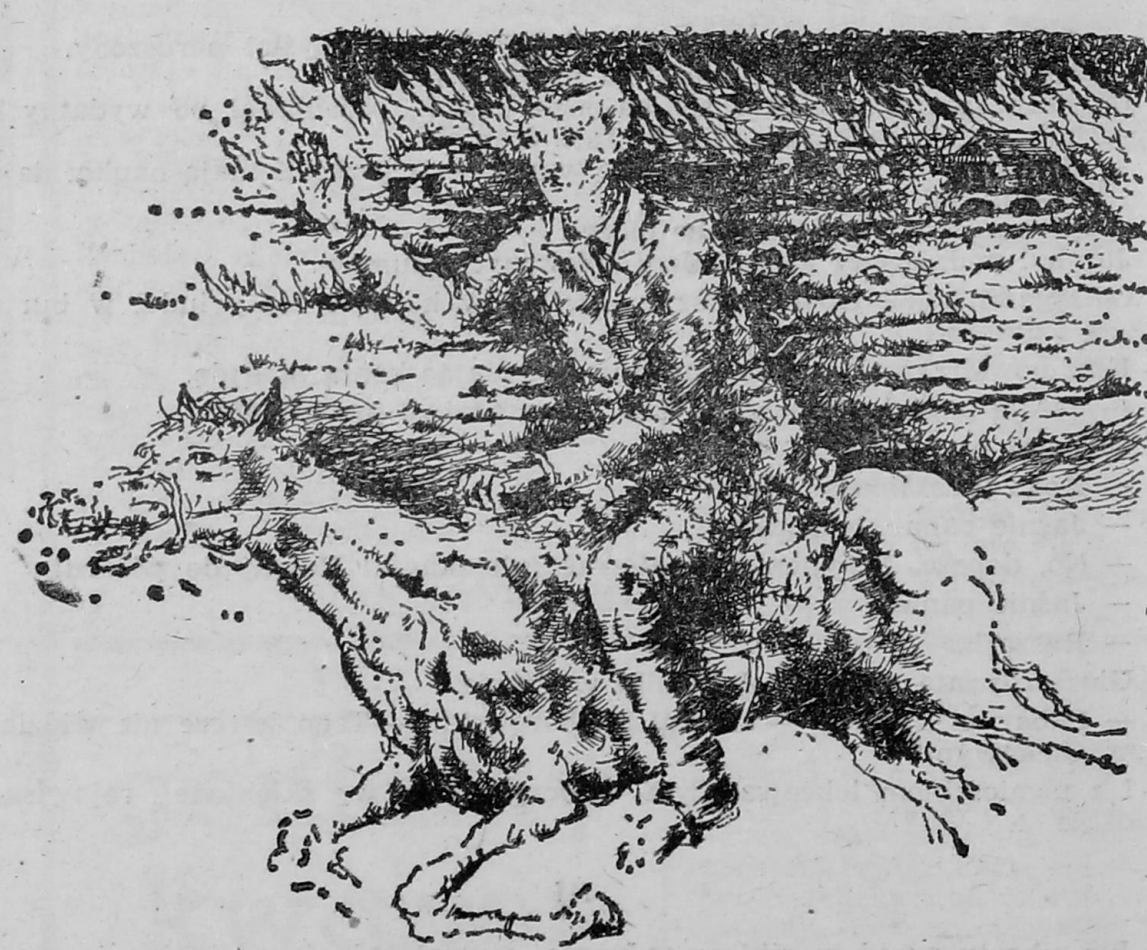
szatkę — „Ożenek Gogola — wy-
stawiono na Boże Narodzenie w
1952 r. Zespół dramatyczny do ro-
ku 1966 wystawił 28 sztuk [...] w
samej Wiźnie, w okolicznych wios-
kach, jak również w powiecie łom-
żyńskim. W 1954 r. za pracę kultu-
ralną odznaczono kierowniczkę bi-
blioteki, Annę Szymczak, Srebrnym
Krzyżem Zasługi”.

Anna kilkakrotnie zauważyła, że
jej bauer ukradkiem podsuwa Po-
lakom żywność. Jego córka wyra-
towała ją ofiarnie z topieli. Nie
pozwoliła ich zbliznować, gdy we-
szli Amerykanie i rozpoczęli się
samosady dotychczasowych niewol-
ników nad panami. Do dziś utrzy-
muje ze swoimi byłymi bauerami
przyjacielskie kontakty.

Później były lagry amerykańskie:
Inserhagen, Fallinglosten i jeszcze
jeden, którego nazwy Anna już nie

Powtórnie małżeństwo zawarła z
najgorliwszym czytelnikiem swojej
biblioteki, bez której nie wyobraża-
ła sobie życia. Mimo przyjęcia na
świat piątego dziecka Anna robiła
z biblioteki kulturalny i towarzy-
ski ośrodek Wizny. Prowadziła ama-
tórski zespół teatralny, chór i ze-
spół muzyczny, organizowała moc
spotkań autorskich; gościła m.in.:
Czesława Janczarskiego, Aleksego
Kazberuka, Romana Pisarskiego,
Aleksandra Omiljanowicza, Józefa
Stompóra, Henryka Brezę, Zdzisła-
wa Marca. Z wieloma z nich za-
warła serdeczną przyjaźń, jak np.
z Marią Szulecką, którą zainspiro-
wała do podjęcia pracy nad książ-
ką poświęconą Wiźnie.

„Biblioteka zbierała pieśni regio-
nalne. W dniu 22 III 1961 r. zosta-
ło nagranych 120 pieśni przez Bia-



Kaski strażaków migają w tłumie jak pochodnie. Wily się nad głowami
prerażonych ludzi grube węże sikawek, warczą cienkie tasiemki wody,
ginąc w otchłaniach ognistych.

Trzask tryskających pomp zagluszają na miejscu ryczące kłębiska szata-
nów. Palily się niebo i ziemia.

I coraz słabiej, ciszej, boleśniej wołał dzwon resztkami sił: gore! gore!
Nagle niebem, powietrzem, ziemią szarpnął gwałtownie straszliwy huk.

Ludziom zdawało się, że ziemia wysadzona dynamitem.
Ze środka rozpalonego muru wielkiego budynku wybuchnął niebiesko-
fioletowy słup ogni, znów się skurczył, rozwalił mur i, jak lawa z wulka-
nu, runął po stoku góry niebieską rzeką palącego się spirytusu.

Pękl zbiornik w gorzelni.
Pożar przy błękitnej szarfie płynącego alkoholu stał się żółtym i jakby
zmalął. Wykwitły z pożogi bukiet płomieni odmiennej barwy zaczął go na
chwilę. Lecz nie zmniejszył — żąda niszczenia rwał z siłą naprzód.

Tłum ogarnęła panika. Ludzie z wrzaskiem uciekali przed pędzącą rze-
ką spirytusu. Szał zawiadną żywiołem i ludźmi. Potop, zawieja ognia do
obłędu doprowadziła umysły. Tłumy dążyły, przewracały, biegły na
osłep i wpadając na siebie. Szloch, krzyk ludzki zmniejszały się chwilami
i wówczas słyhać było pojedyncze głosy tu i tam rozsiane, głosy stanow-
cze, fanatyczne. Czasem — pod wpływem mówców — kilkadziesiąt pięści
wznosiło się ponad głowami, wyrażając strażakom. Inni z przekleństwem
grozili w przeciwną stronę pożogi. A pojedyncze głosy w przerwach łomo-
tu, trzasku, świstu płomieni, dominowały ciągle.

— Zabijaj nas — szeptał strażacy.
— Ratować! — brzmiała komenda dowódcy.
— Nie uratujemy.

Pożar huczał, jak tysiące trąb powietrznych.

— Rommy palą się! Gorzelnia ordynacka płonie! Parowe młyny! — roz-
legły się po okolicy przerażone głosy.

W jaskrawym świetle pożogi białły w oddali mury bliższych folwarków.

Jasność, żar piekący rozdzielał noc na daleką przestrzeń.

Śniegi, leżące blisko ognia, stajały, w brudnych kałużach odbijając gorą-
ce luny. Rozżarzone głównie, warkocze iskier — z sykiem grzesły w bło-
cie, buchając resztkami ognia, jak zmęczone bestie pianą. Zdawało się, że
śrońce spadło na ziemię, rozprysło i skłębła się, ciska w górę, rzucając do-
kół sę zabójcze pasma, niby macki potwora.

Wyniosłe baszty i wieżycy ordynackiej siedziby rozblisły w świetle.

Róż wsiąknął w mury; krwawo świeciły szyby okien.

Z wielkiej bramy sklepowej wypadł ostrym galopem mały orszak kon-
nych i gwał do pożaru fantastyczny, jak hufiec upiórów. Na czele biegł koń
czarny, zzieleniał z rozwianą gęstwą ogona i grzyw. Pożar grał mu w żre-
nicach: nozdrza niosły pochodnie Cwałował naprzód świecącą marmurową
piersi. Unosił na grzbiecie smukłą sylwetkę jeźdźcy w rozniezionej przez
pęd burce, spiętej tylko na ramionach.

Już dopadali pożaru, gdy zastąpił im drogę inny jeździec: bez czapki,
z osmaloną czupryną i okopconą twarzą. Konie, wstrzymane gwałtownie,
stały dęba Zanętania i odpowiedzi skrzyżowały się:

— Jaki powód?
— Podpalone... wszystkie rogi zajęte. Obcy ludzie... dowodzą agitatorzy!
— Wszystkie straż są?

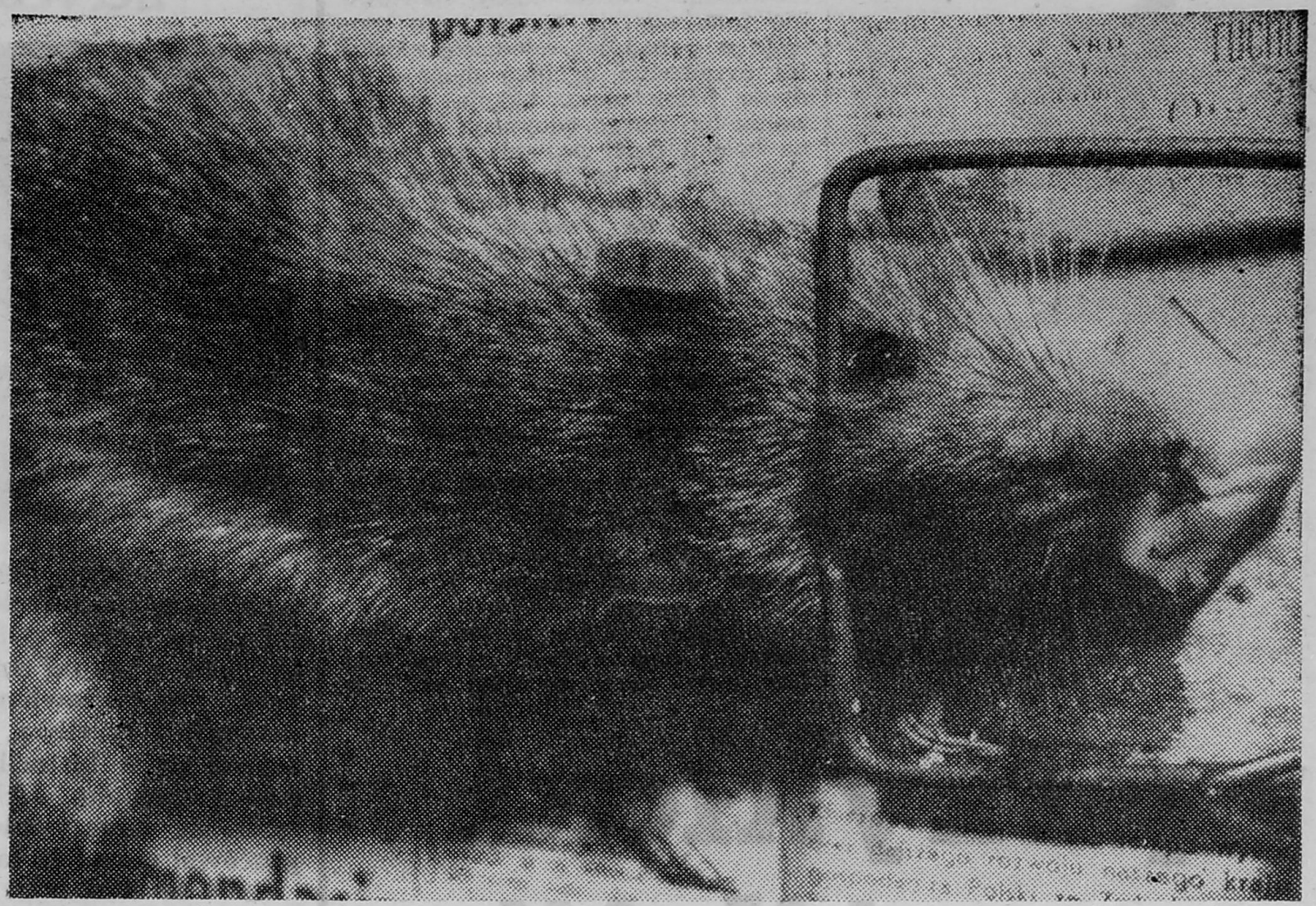
— Tak, panie orynacie.
— Ratować domy robotników i służby; od fabryk odstąpić. Żywo!
— Młyny zgorzały. Ale spirytus, panie ordynacie!...
— Słuchać komendy. Ludzie ważniejsi. Na miejsce, Badowicz!
Głos brzmiał spokojnie, lecz stanowczo.
W tej chwili właśnie pękl zbiornik alkoholu. Osłepiająca rakietą pio-
runowym grzmotem cisnęła się pod różowy strop nieba i potoczyła z góry
— warcząc przeraźliwie — wprost na ordynata.
Olbrzymi strzelec i dwaj inni gwałtownie odcisnęli karego wierzchowca
daleko na stronę. Oniemieli z przestachu, bladzi, wydali okropny okrzyk
zgrozy.
— Panie ordynacie... dalej... dalej! — Tu ogień dosięgnie!
— Dziękuję wam Brunon i Jur do pożaru; ratować mieszkanca! Pan do
naczelnika straży na pomoc.
Łowczy Urbański skłonił się.
— Ale, panie ordynacie: samemu niebezpiecznie... obcy ludzie... bunt.
— Proszę być spokojnym.
Ordynat został sam. Silnie trzymał rozgorączkowanego konia, lecz Apollo
walił kopytami, bryzgając błotem. Chrapał wściekle, przysiadł na tyl-
nych nogach, z nozdrzy ział ogniem.
Spod czarnej czapki ordynata szare oczy błyszczały jaśnią pożaru. Brwi
miały zmarszczone w gesty łuk. Smągla, szczupła twarz zabarwiła się ogni-
ście. Patrzył w rozpetaną przemoc ognia spokojniej od Apolla, tylko noz-
drza latały mu przedko, podniecone wewnętrzną gorączką i swędem spa-
lenizny

Za czasów Aleksandra Wielkiego jeden z uczonych — w swoim dziele na temat historii naturalnej zwierząt — wspomina o szczurach w krajach położonych na południe od Morza Kaspijskiego. Za ojczyznę szczura uchodzą Indie lub tereny Azji Wschodniej. Dawna Europa nie знаła tego niebezpiecznego darmożjadu. Niektórzy twierdzą że do wschodniej i środkowej Europy przywiekli go Tatarzy na początku XIV wieku, inni — że krzyżowcy, wracając statkami z wypraw do Ziemi Świętej — „załadowali” gryzonie razem z żywnością.

Nie trzeba było długo czekać, aby szczury dały się we znaki ludziom: niepokoiły zwierzęta domowe, niszczyły pola i spiżarnie, przenosiły choroby. Olbrzymia epidemia dżumy, związana z pojawieniem się szczurów miała miejsce w XIV wieku. Jak podaje jeden z naukowców na około 150 lat przed odkryciem Ameryki zmarły w Europie na skutek epidemii przenoszonych przez szczury około 34 miliony ludzi, a zatem więcej, niż padło na polach bitewnych żołnierzy w całym europejskim tysiącleciu.

W Stanach Zjednoczonych przyjmuje się, że liczba szczurów dorównuje liczbie mieszkańców. We Francji obliczono szacunkowo ich liczbę na 50 milionów, a straty, jakie powodują, na miliard franków rocznie. Francja, szczególnie Paryż był z dawien dawna znanym szczurzym centrum. W 1850 roku zabito w tym mieście 150 000 szkodników. Największą plagę szczurzą notuje się w Indiach. Jak się oblicza

każdy powinien zabić swojego szczura



— na jednego mieszkańca przypada tam pięć gryzoni, a w sklepach trudno dostać jakąkolwiek trutkę. Wiele indyjskich chłopów, kierując się względami religijnymi, powstrzymuje się od ich zabijania. *Rattus norvegicus*, czyli szczur wędrowny, jest zwierzęciem sprytnym, wytrzymałym i wojowniczym.

Skacze na wysokość 80 centymetrów, świetnie pływa i nurkuje, potrafi wspinać się po ścianach i belkach, kopie wygodne biwaki, może przewędrować dziennie wiele kilometrów. Jego ostre zęby poradzą sobie nawet z (niezbyt grubą) bla-

chą aluminiową, taflą szkła piankowego, cienką betonową płytką. Nawet nasz postępowy i zaradny wiek dwudziesty nie potrafi sobie poradzić ze szczurzą inwazją. Jedno z haseł Światowej Komisji Zdrowia brzmiało: „Każdy powinien zabić swojego szczura”.



twarz bez zmarszczek

Korzystnie przy zmarszczkach działają naprzemiennie okłady. Używamy do nich dużych chustek lnianych lub małych ręczników frotowych. Kompresy robimy z wody gorącej (jaką tylko zniesie skóra), najlepiej przegotowanej, a następnie — z zimnej. Zamiast gorącej można stosować napar z kwiatu lipowego, mięty lub rumianku. Trzeba go ostudzić i przecedzić, a następnie ponownie ogrzać. Kompres z wody gorącej kładziemy na 1—2 minuty, z zimnej — na 3—4 minuty. Zabieg kończymy zawsze zimnym.

Przed stosowaniem okładów twarz oczyszczamy z makijażu i brudu, po czym lekko natłuszczamy kremem.

Po zabiegu dobrze jest położyć maseczkę owocową, a następnie lekko twarz natłuścić.

Okłady przywracają świeżość twarzy na kilkanaście godzin, a można je robić dwa razy w tygodniu. Trzeba jednak pamiętać, że nie służą każdej cerze. Nie można ich stosować przy rozszerzonych naczyńkach włoskowatych (tzw. żyłkach) i przy skórze suchej.

Przy tworzeniu się zmarszczek na czole i pod brodą u osób z suchą cerą można na te miejsca przyłożyć okład z wody (przegotowanej o temperaturze pokojowej), przewiązany opaską elastyczną (na 2—3 godziny)

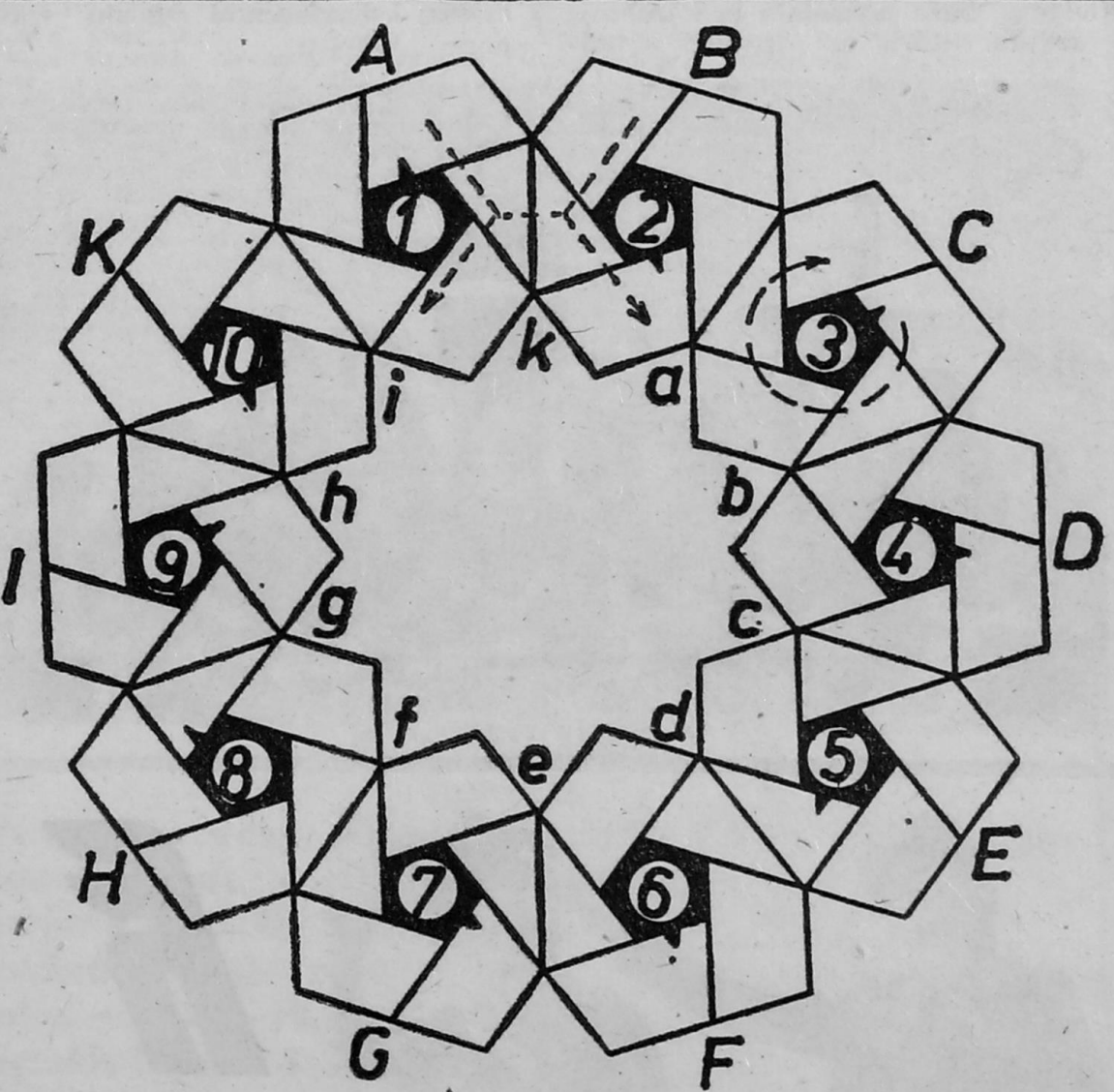
pieczeń rzymska z królika

PRODUKTY: 80 dkg przodków króliczych, 10 dkg słoniny lub boczku, 5 dkg cebuli, 4 dkg czerstwej bułki, 8 dkg tłuszczu, pół szklanki śmietany, 1 jajko, 3 dkg maki, karmel, sól, pieprz, 1 łyżeczka siekanej zielonej pietruszki.

Bułkę namoczyć w wodzie. Przodki opłukać, obrać dokładnie z powiezi i zdjąć z nich mięso (usuwać ścięgna). Cebulę obrać, pokrajać i zrumienić na części tłuszczu. Słoninę lub boczek podrobić w kostkę. Mięso, zrumienioną cebulę i namoczoną bułkę, lekko odcisnąć z wody, przepuścić dwukrotnie przez maszynkę. Do zielonej masy dodać słoninę (lub boczek), jajko, sól i

pieprz, dokładnie wyrobić i na desce — posypanej tartą bułką — uformować z niej gruby walek. Rozgrzać tłuszcz w brytwannie, włożyć mięso, oblać je tłuszczem i wstawić do gorącego piekarnika. Piec około 1 godziny, często polewając sosem. Pod koniec pieczenia wlać do brytfanny śmietanę rozmieszaną z mąką i dusić przez kilka minut w sosie (w razie potrzeby) rozrzedzonym wodą i zabarwionym karmelem.

Wyjąć mięso z sosu, pokroić na grube plastry, ułożyć na podłużnym półmisku. Podawać — oblane sosem i posypane zieloną pietruszką — z ziemniakami lub makaronem. Pieczeń rzymską z królika można również upiec w folii aluminiowej lub grubym permaminie.



PRAWOSKOŚNIE (kierunek oznaczony strzałką): A-a) dębowa teja z głowy nie zastąpi, B-b) postać biblijna — drugi syn Judy, C-c) złoty medalista — w wadze półciężkiej, w podnoszeniu ciężarów na olimpiadzie w Melbourne (1956 r.), D-d) stolica Syrii, E-e) to samo co hacel, tylko trochę „krótszy”, F-f) w żeglarskim — węzeł marynarski łatwy do rozplątania, G-g) główny składnik powietrza (wagowo), H-h) car bułgarski (1187—1196), pierwszy władca tzw. II państwa ze stolicą w Tyrnowie, I-i) rzekę grodzi, K-k) pasywa w terminologii bankowej.

LEWOSKOŚNIE (kierunek oznaczony strzałką): A-h) miasto w RSFR (słynne z samowarów), B-i) rozcieńczony rum, C-k) uraz, D-a) rzeka w Mongolii i ZSRR (z Inogdą tworzy Szyłkę), E-b) dekolt w formie kwadratu, F-c) zagłowiec dwumasztowy o skośnym ożaglowaniu, G-d) b. bramkarz Polonii Bytom, H-e) afektacja, maniera, I-f) próba, K-g) z Maskatem na półwyspie Arabskim.

ZEGAROWO: 1) wiejski „tenor” nad tenory, 2) wypełnia lampy jarzeniowe i elektronowe, 3) gruba gałąź, 4) areopag autorytatywnych osób, 5) wysoka czapka wojskowa z początku ubiegłego stulecia, 6) ten mniejszy z telewizyjnych „budrysów”, 7) miejskie targowisko, 8) jednostka miary wierszowej (np. trochę, jamb itp), 9) wypływa z Jez. Sajno, 10) miara, wzór czegoś.

stragan pod trzynastką



(GOLIAT)



rzy, dysponuje jedną salką, i to niewielką. Nawet klasy sportowe nie mieszczą się w niej, nie mówiąc o pozostałej młodzieży, która jej urządzenia oglądać może jedynie przez okno. Lekcje wychowania fizycznego odbywają się więc na boisku (jeśli pozwala na to pogoda) lub na korytarzu. Toteż niewątpliwe sukcesy, o których wspominałem na wstępie, są zasługą nie tylko nauczycieli wf-u, ale też wynikiem cierpliwości i wyrozumiałości całego ciała pedagogicznego. Robi ono wszystko, aby umożliwić uczniom uprawianie sportu. Zaopatrzenie w sprzęt jest nie gorsze niż gdzie indziej, a zawodnicy mogą korzystać z żywienia.

Sukcesy klas sportowych powstają kosztem pozostałych uczniów. Program wychowania fizycznego jest realizowany, oczywiście, ale w bardzo wąskim zakresie.

Siatkarki i siatkarze muszą dysponować odpowiednimi warunkami fizycznymi, więc co roku już w

przykład „trójki”

Podopieczne Mirosława Skawskiego, siatkarki ze Szkoły Podstawowej nr 3 w Łomży, w kwietniu na mistrzostwach makroregionu warszawsko-mazurskiego w Warszawie, wywalczyły brązowy medal ulegając jedynie dwóm drużynom z Warszawy, a w pobitym polu zostawiły reprezentantki Suwałk, Białegostoku, Ostrołęki, Olsztyna i Ciechanowa. Dwa lata temu dziewczęta z tej szkoły zdobyły wicemistrzostwo Polski szkół sportowych, a chłopcy zostali mistrzami. W roku 1982 dziewczęta były czwarte, a chłopcy zajęli piąte miejsce.

Popularna „trójka” szkoła sportowa była i w dalszym ciągu pozostaje tylko z nazwy. Kiedy w roku 1976 nadano jej ten status, wiele mówiło się o budowie drugiej, pełnowymiarowej sali gimnastycznej, basenu i modernizacji boisk. Niestety, baza pozostała bez zmiany, a szkoła, która ma szkolić siatkarki,

klasach czwartych prowadzi się wstępna selekcję młodzieży: wybierają 16-18 dziewcząt i tyluż chłopców, z czego, po dojściu do klasy ósmej, pozostaje około jednej czwartej.

Na organizację klasy sportowej powinny pracować jeszcze przynajmniej dwie lub trzy szkoły, aby przegląd młodzieży był szerszy i wybór — najtrafniejszy; tak dzieje się wszędzie, tylko nie u nas. Niestety, niska ranga sportu w szkołach średnich, słabe finansowanie Międzyszkolnego Klubu Sportowego „Zorza”, a także brak własnych obiektów sportowych wpływają na to, że z trudem wyszkoleni zawodnicy nie rozwijają się dalej. Do tej pory nie udało się w ani jednej szkole średniej w Łomży stworzyć klas sportowych. Zresztą nie tylko w tej materii brakuje porozumienia między działaczami sportu szkolnego i WFS-u. (to)



zawsze z młodzieżą



W przeszłości nigdy nie był wybitnym sportowcem. Złożyło się na to wiele czynników: nie najlepsze warunki fizyczne, kłopoty ze zdrowiem. Zawsze skramny i życzliwy, na stałe zapisał się w historii sportowej naszego regionu. JAN STEC w zawodzie nauczycielskim pracował ponad 25 lat.

— Od początku pracy pasjonowała mnie lekka atletyka. Zajmuję się również piłką ręczną dziewcząt i szachami. Często poświęcałem wiele spraw rodzinnych, by osiągnąć wytyczone wraz z młodzieżą cele sportowe. Nie zdarzyło się do 1969 r., bym nie uczestniczył w imprezie, w której startowali moi podopieczni. Od tego też roku moi wychowankowie zaczęli odnosić poważniejsze sukcesy sportowe. Choćby w białostockich Olimpiadach Młodzieży Szkolnej Danuta Kopańczyk zdobyła srebrny medal w rzucie dyskiem (1969 r.), Celina Szulc — złoty w rzucie dyskiem (1972 r.), Halina Szewczyk — srebrny w biegu na 600 metrów (1973 r.), Stanisław Tarnacki — srebrny w rzucie dyskiem (1972 r.). Dobrymi wynikami legitymowali się również: Marek Lipiński i Andrzej Wykowski w pełnięciu kulą oraz Kazimierz Matejkowski w biegach krótkich. Lucyna Sikorska w biegu na 400 metrów — zdobyła srebrny medal w 1981 r. na OMS w Lublinie.

Od 1975 r. Zbiorecka Szkoła Gminna w Piatnicy (w której pracuję) zawsze plasuje się w czołówce najlepszych w województwie we współzawodnictwie sportowym. Jest to też zasługa moich kolegów: Janka Bieńczyka, Janusza Zdziemborskiego i Krzysztofa Cymka, z którymi współpracuje mi się znakomicie. Chwałę sobie również współdziałanie z trenerami klubowymi: Tadeuszem Sułosem, Eugeniuszem Horoszko, Kazimierzem Kirejczykiem i innymi, pod których kierunkiem rozwijają sportowe uzdolnienia moje podopieczni po ukończeniu szkoły podstawowej.

Moim „konikiem” jest coroczny udział w plebiscytach na najlepszych sportowców województwa i kraju; zdobyłem już ponad 30 nagród w tych konkursach. W 1974 r. uzyskałem miano „króla kibiców” w challenge’u miesięcznika „Lekka Atletyka”; jako jedyny w kraju wytypowałem prawidłową kolejność 10 najlepszych lekkoatletów Polski.

Praca wtedy przyniesie wyniki, gdy człowiek ją lubi i wierzy, że to,

co robi, jest właściwe i w konsekwencji daje mu wielką satysfakcję osobistą. Z tego, co dotychczas zrobiłem i co osiągnąłem, jestem dumny. Nie wyobrażam sobie innej pracy niż w sporcie i kulturze fizycznej.

nieustający konkurs

Wśród czytelników, którzy w ciągu siedmiu dni nadesłali prawidłowe odpowiedzi rozlosujemy nagrody — niespodzianki.

KUPON KONKURSOWY

Podaj nazwisko i imię sześciokrotnego uczestnika olimpiad, rekordzisty pod względem startów w igrzyskach oraz konkurencję, w której zdobył srebrny medal.

Odpowiedź:

Imię, nazwisko i dokładny adres

Wylosowano nagrody ufundowane przez Polski Komitet Olimpijski, Wydział Kultury Fizycznej Urzędu Wojewódzkiego w Łomży oraz Łomżyński Klub Sportowy uczestnikom kwietniowych konkursów. Otrzymują je: nr 16 — Teresa Bogdan (Łomża, ul. Kwiatowa 46), Gerard Miliński (Tuszyn, woj. piotrkowski), Marek Baranowski (Łomża, ul. Świerczewskiego 32 C m 8); nr 17 — Tadeusz Jastrzębski (Białystok, ul. Czarna 8), Zbigniew Dowłaszewski (Zambrów, ul. Sadowa 1 m 26), Ryszard Gliński (Cydzyń Nowy, p-ta Piątynica); nr 18 — Jan Żebrowski (Łomża, ul. Prusa 7 m 48), Jerzy Juchniewicz (Zambrów, ul. Grunwaldzka 25 m 4), Ryszard Roszkowski (Wysokie Mazowieckie, ul. Wesołowskiego 18).

Do końca maja nagrody można odbierać w redakcji. Po tym terminie zostaną wysłane pocztą.

sport



WOJEWÓDZKIE
PRZEDSIĘBIORSTWO
HANDLU
WEWNĘTRZNEGO

zaprasza
codziennie — w godz. 10.00–18.00
— do DH „Merkury” w Łomży
Już od kwietnia funkcjonuje tam stoisko
CENTRALNEJ SKŁADNICY
HARCERSKIEJ.

które proponuje:

- ▲ mundury harcerskie
- ▲ wyposażenie biwakowe
- ▲ emblematy organizacyjne
- ▲ zabawki politechniczne



i tak bywało

W XVI w. miasteczko obejmowało rynek (w 1577 r. — 28 domów), ul. Kościelną (11 domów), Dworną (3 domy), Za Bramą (10 domów) i Za Mostem (19 domów). Odnótowano nadto istnienie dwóch osad (Paca, Ostejki), młyna na Jęgrzni i wielu okolicznych gospodarstw (m.in.: Ławki, Maciejkówna, Stare Młynisko, Czapleta, Gąbrowina, Buda, Kobiałczyna, Okół, Lipki, Sudnik, Kołowrocie, Siemieniowizna, Kieszkielsko, las Choinki, bagienko Borowe).

Przywilej miejski, nadany Rajgrodowi przez Annę z Radziwiłłów Kiszczynę, potwierdził także wolność warzenia przez mieszczan miodów, piwa i gorzałki; za każdy war przeznaczony na wyszynk należało zapłacić 1,5 grosza polskiego.

„Posyłam ci smutny spis od Komisji Bielskiej, przysłany o zniesieniu pospolitego ruszenia w Rajgrodzie. Twego tu zarządzenia potrzeba, aby lud przez winy przełożonych na rzeź wystawiany nie był i nie odstępował się od boju. Wyczytasz z tego raportu, jakie skutki w umysłach ludu sprawiło zdarzenie w Rajgrodzie” (Franciszek Dmochowski do Tadeusza Kościuszki, 22 lipca 1794 r.).

Według Aleksandra Polujńskiego — zdarzyło się jeszcze w połowie XIX w. słyszeć nocą w Rajgrodzie odgłosy hucznych biesiad, dochodzące z Góry Zamkowej.

W końcu XIX w. jednym ze źródeł niezłego chyba dochodu rajgrodzian było szwarcowanie (przemycanie) towarów z — i do — Prus Wschodnich. O dziwo, z tamtej strony nielegalnie sprowadzano i spirytualia.

z życia i pamięci

Wśród rozgalezionych, pięknych mazurskich jezior, na pagórkowatym półwyspie, otoczony kołistą zaporą lasów, leży malownicza miejscowość Rajgród. [...]

Rynek był wyłożony brukiem z kamienia. Jako poligon bezpieczeństwa psów i miejsce postoju furmanek zawsze był brudny, pokryty śmieciami, rzadko kiedy sprzątany. Miejska rada w drodze licytacji wydzierżawiła rynek ludziom, którzy pobierali opłatę, zwaną kopytkowym, na rogatkach, przy wjeździe do miasteczka.

Na środku stała staroświecka pompa. Tu odbywały się targi i jarmarki roczne. Na największy jarmark „po Zwiastowaniu” przyjeżdżali kupcy z dalekich stron. Już z wieczora zajmowano miejsca pod stragany. Każdy zapraszał i zachwalał swój towar. Zgiełk tłumy, żalosne pieśni dziadków, błagających o wsparcie.

Na rynku, przy szosie, stała z desek zbita remiza strażacka, przy niej z przeciwległej strony najokazalszy budynek piętrowy, z prasowanej cegły, Elenboga. W kamienicy tej mieścił się komisariat straży pogranicznej i magistrat.

Przy wjeździe do miasteczka od strony Grajewa stała zabytkowa, piękna kamienica, z balkonem i wysokim gankiem, ozdobna ornamentami. Należała ona do właściciela jeziora, Radiona Krymowa, który od władz carskich otrzymał te nieoszacowane dobra, pozabawiając rajgrodzian serwitutów w jeziorach. W tej kamienicy rezydowała władza carska w latach niewoli i niemiecka w latach swych wojen światowych. Tu również urzędowała polska policja w okresie międzywojennym.

(Franciszek Zabielski: „Z życia i pamięci”, Warszawa 1971. Autor urodził się w Rajgrodzie w 1903 r.)



Gród o tajemniczej przeszłości, niszczone wielokrotnie i odbudowywany z uporem. Panowali w nim Jaćwingowie, Mazowianie i Litwini, przejściowo nawet Krzyżacy. Centrum rozległych włości, ośrodek handlu (nie zawsze legalnym) kwitnący, ale także punkt docelowy dla różnorodnych kolumn żołnierskich. Historia znaczone rabunkami czynionymi przez Tatarów, Prusaków, Rosjan, Niemców, także grobami poległych obrońców.

Otrzymało to miasto w herbie cztery gwoździe na złotym polu. Cenny to dar, zatem młoty w dłoń, zacni rajgrodzianie!

ściągawka z historii

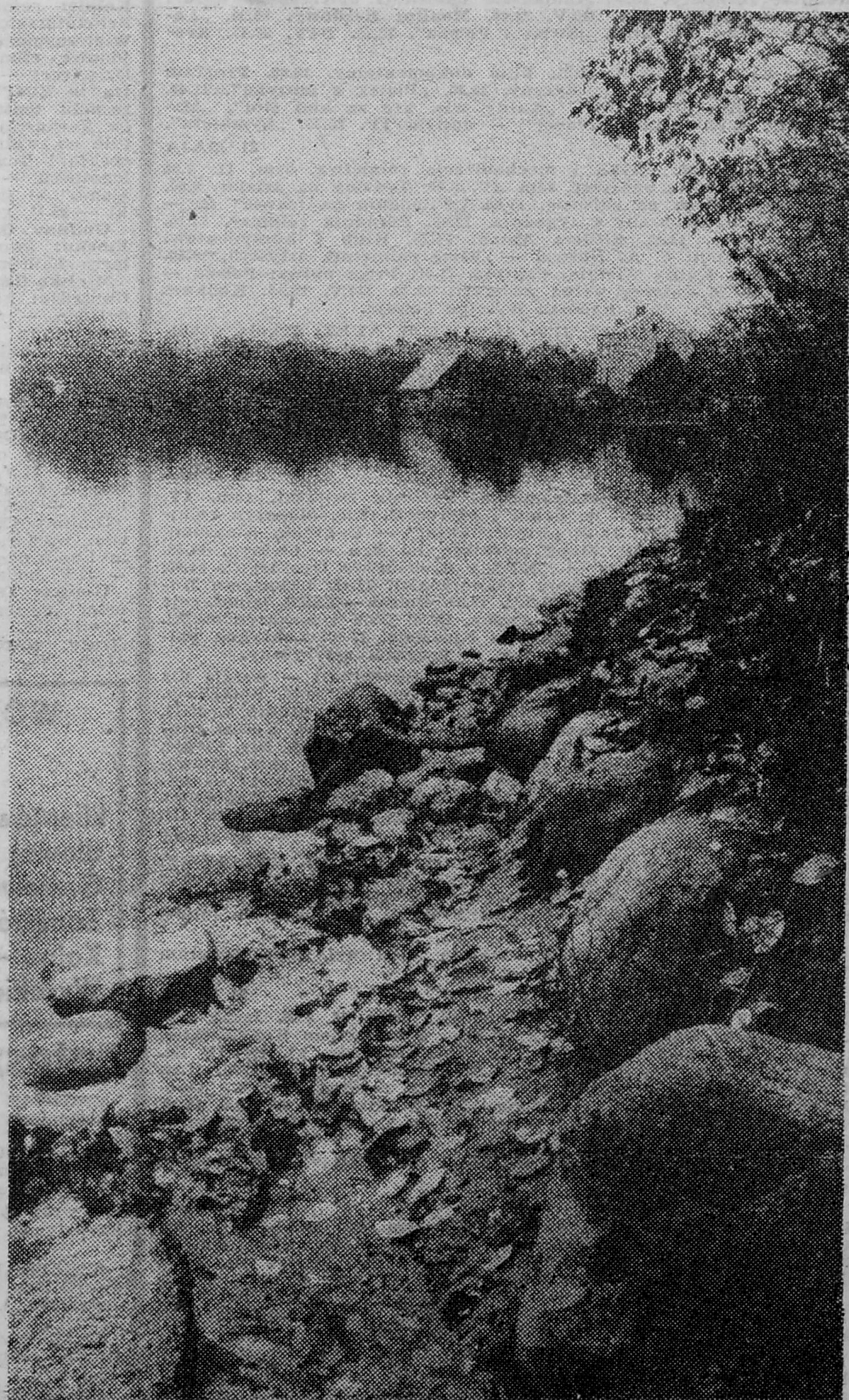
- 1248 lub 1249 — zniszczony został jaćwieski gród Raj.
- 1422 — pokój w Mielniku, zamek rajgrodzki w granicach W. Ks. Litewskiego.
- 1568 (6 VII) — nowy przywilej miejski; w roku następnym Rajgród wraz z woj. podlaskim wszedł w skład Korony.
- 1656 — zniszczenia tatarskie i szwedzkie; ze 150 domów zostało 25.
- 1794 (10 VII) — Prusacy złupili miasto, uprowadzili 391 jeńców i 80 wozów z tułaczami.
- 1807 — spod panowania pruskiego Rajgród przeszedł do Księstwa Warszawskiego.
- 1815 — na sto lat do Królestwa Polskiego (zabór rosyjski).
- 1831 (29 V) — zwycięska bitwa wojsk polskich.
- 1863 — w okolicach Rajgrodu powstała partia powstańcza Bonifacego Dziadulewicza (potem kpt. Władysława Brandta).
- 1910 — ok. 3600 mieszkańców w osadzie (od 1869 r.) Rajgród.
- 1939 — ok. 2400 mieszkańców w mieście (od 1926 r.) Rajgród.
- 1945 (23 I) — wyzwolenie, w gruzach leżało ok. 80 proc. budynków.
- 1975 — znów w Łomżyńskim (w ten sposób województwo ma chociaż kawałek prawdziwego jeziora).

z pola walki

Po przegranej bitwie ostrołęckiej (26 maja 1831 r.) korpus wojsk polskich pod dowództwem gen. Antoniego Giełguda został skierowany na Litwę. Za sprawą głównie płk. Wacława Sierakowskiego Polacy zaskoczyli Rosjan na pozycjach pod Rajgrodem; 29 maja rozgorzała tu bitwa, nieprzyjacieli ustępował.

„Całe wojsko Giełguda szło naprzód, ale owo nieszczęsne rozwinięcie lewego skrzydła sprawiło stratę czasu, który już odrobionym być nie mógł. Dembiński poznał potrzebę opanowania co rychlej Rajgrodu, ale to poznanie przywodzi go do kroku nierozważnego: popycha swoje nieliczne szeregi naprzód. Na samej szosie stał szwadron poznański Franciszka Mucielskiego, który widząc tylko przed sobą miasteczko Rajgród, napelnione piechotą nieprzyjacielską, sądził, i to bardzo słusznie, że to nie było wcale dla niego pole do działania. Stał więc w miejscu, oczekując dalszych wypadków lub wyraźnego rozkazu. Dembiński w porывczym uniesieniu, jakim dość często ulegał, napotyka ów szwadron Mucielskiego i wskazując mu Rajgród, zawołał głosem wyrzutu: czyli to oni nie chcą iść drogą niebezpieczeństwa? Poznańszczanie kropnęli się w galop i wpadli w ulicę Rajgrodu, które to miasteczko napelnione było piechotą rosyjską, cofającą się na ten punkt z wszelkich stron i będącą w postanowieniu walki od upadłego dla dania czasu reszcie swoich do ściągnięcia także tutaj. Oczywiście, że tej piechocie ów szwadron jazdy nie poradzić nie mógł, a sam, rażony z domów, spoza parkanów, dotkliwie od niej ponosił straty i odstąpić musiał. Franciszka Mucielskiego, przeżytego kilkoma kulami, skutego bagnietami, wyniesiono jeszcze oddychającego z tej morderczej jamy. Dembiński, zgnębiony wyrzutami sumienia, zsiada z konia, klęka przed konającym, żebrze przebaczenia za wyrazy obelżywe w porывczosci wyrzeczone. Mucielski przebacza i kona.”

(„Pamiętnik” gen. Prądzyńskiego, t. III)



rajskie miasto

„[...] legenda miejscowa dowodzi, że tu był „Raj”. Dowiedzenie to popierają nazwy części Rajgrodu i okolic, a mianowicie: Piekietko, Utrata, Wygodna, Tajno itd. Z owego Piekietka miał wyjść zły duch na Utracie, skusić Ewę do zjedzenia jabłka i przez to utracenie Raju, a w Tajnie — zatajenie grzechu”.

„Miasteczko bardzo przyzwoite, zabudowane przeważnie domami murowanymi, pomiędzy którymi jest kilka piętrowych okazałych kamieniczek; całe wybrukowane, w lecie robi wrażenie widoczny jest ład i postęp na drodze do porządku. Z powodu tej czystości i warunków położenia Rajgrodu, miejscowość zalicza się do zdrowszych w kraju. Śmiertelność mniejsza niż gdzie indziej w kraju, epidemie nie trzymają się, ludzie żyją tu długo. Nietrudno tu znaleźć ludzi powyżej 80 lat, którzy jeszcze ciężko pracują i czysto wyglądają. O suchotach i malarjach trapiących inne okolice my tu nigdy prawie nie słyszymy.

Pomimo tylu dobrych stron, miasteczko nasze nie podnosi się, niegdyś było bardzo zamożne, mające swoich krezesów, dzisiaj pomatu upada i biednieje w skutek braku ruchu handlowego...”

(„Echa Płockie i Łomżyńskie” z 1902 r.)

zredagował
Adam Dobroński

raijgrodziana

raijgrodziana